ROK I. — Nr. 4—5. Warszawa, Kwiecień—Maj 1909.

PRĄD

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNY I LITERACKO NAUKOWY

Wychodzi w końcu każdego miesiąca.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: WARSZAWA, Ulica WARECKA Nr. 10 m. 11.

KOMITET REDAKCYJNY STANOWIĄ:

Tadeusz Błażejewicz, Tadeusz Miśkiewicz, Adam Łach Szymański.

PALĄCA KWESTYA.

Jak rozszalały potok górski, pędzący spienione fale na uprawne równiny, niszczy z żywiołową siłą cały dobytek skrzętną zebrany pracą, tak z podobną siłą fala zgnilizny moralnej zalewa fundamenty naszego narodu, całą jego przyszłość, która w młodzieży jest zawarta. Jesteśmy milczącymi obserwatorami faktów, świadczących jak opłakanie nizki jest u nas poziom moralności, z jak zastraszającą szybkością zepsucie obyczajów ogarnia szerokie masy społeczeństwa; jak ulega zgniliźnie moralnej młodzież obojej płci od lat tak wczesnych, że wprost trudne nieraz jest do uwierzenia. Jest to poprostu objaw zdziczenia, na którego widok nie mogą się nie przejmować zgrozą i wielką o przyszłość narodu obawą, nawet najobojętniejsi. Kto nie bada tego stanu rzeczy, to zdawać mu się może, że są to tylko wypadki sporadyczne, które w zbyt czarnych kolorach malować usiłuję. Gdybyśmy jednak przejżeli statystyki, wykazujące liczbę młodzieży zarażonej chorobami wenerycznemi, gdybyśmy przyjrzeli się jej zachowaniu na ulicy i tym skandalom, jakie są na porządku dziennym w takich miastach jak Warszawa, Lwów, Kraków, to wtedy dopiero nie lekceważylibyśmy tego smutnego objawu i wszystkie wysiłki skierowalibyśmy do ratunku tych, których ratować jeszcze można. Przed czterema laty, gdy we Lwowie zarządzono rewizyę sanitarną we wszystkich szkołach średnich, poczynając od klasy IV-ej, to okazało się, że było tylko 20% zdrowej młodzieży. Bardzo wymownym dowodem w tej sprawie jest także doroczne sprawozdanie „Tow. wzajemnej pomocy na uniwersytecie Jagiellońskim". Towarzystwo utrzymuje dwóch stałych specyalistów chorób wenerycznych, i rozpustę wśród młodzieży uważa za tak zwykły objaw, że w corocznem sprawozdaniu podaje ilość chorych oraz drobiaz-

gowe określenia chorób. W roku 1907 okazało się zarażonych 56%, w roku zaś ubiegłym sprawozdanie jednego tylko lekarza wykazało 254 chorych i 1532 wizyty na 600 członków. Drugi lekarz z powodu wyjazdu sprawozdanie swoje za rok ubiegły ma złożyć dopiero w roku przyszłym. Jeżeli jednak przypuścimy, że chociaż w połowie był on tak często odwiedzany jak pierwszy, to w roku ubiegłym liczba chorych doszłaby do 70%. Nie trzeba jednak zapominać i o tem, że jest jeszcze pewien procent, który się leczy własnym kosztem u innych lekarzy; znajdzie się zapewne także garstka takich „szczęśliwców", która—uprawiając rozpustę—chorób uniknęła. Gdy więc zsumujemy te wszystkie ofiary, to wieleż nam pozostanie młodzieży, żyjącej w zupełnej czystości?!—Tak się przedstawia sprawa moralności płciowej wśród młodzieży męskiej! Że lepiej jest wśród młodzieży żeńskiej, o tem ani na chwilę nigdy wątpić nie śmiałem!—Ale w czasach ostatnich, gdy przerażony zgnilizną moralną, jaka toczy młodzież męską bardziej tą sprawą interesować się począłem, przekonałem się, że i pośród młodzieży żeńskiej zaraza rozpusty szerzy się coraz bardziej. Coraz to częściej słychać o różnych skandalach i ligach wolnej miłości, o których najczęściej z rozmaitych względów prasa,—która stać winna na straży zdrowego rozwoju wszelkich przejawów życie społecznego,—zamilcza. W listopadzie ubiegłego roku, w parku Jordana w Krakowie, pojmano na rozpuście ucznia gimnazyum z uczennicą pewnej „postępowej" pensyi. Na badaniu owa uczennica zeznała, że należy do grupy uczennic, kultywujących „wolną miłość". Zarządzono rewizyę sanitarną w wyższych klasach wspomnianej pensyi, która wykryła piętnaście zarażonych uczennic.

Czyż wobec podobnych faktów sprawa ta nie jest dość aktualną, by postawić ją na porządek dzienny, pomimo całej jej ohydy i wstrętu, jaki budzić musi, by narzucić zajęcie się nią całemu społeczeństwu, które powinno biedz z ratunkiem rychłym i skutecznym, jeżeli na przyszłość egzystencyę sobie zapewnić pragnie. To jest ropiąca się rana społeczna, która podkopuje najgłębszą podstawę naszego życia, która jest zamachem na świętość rodziny i czystość domowego ogniska, która trawi rdzeń naszego narodu. Naświetniejsza cywilizacya, jaką kiedykolwiek świat podziwiał, uległa zupełnej ruinie i zniszczeniu. Rozległą i wspaniałą konstrukcyę państwa Rzymskiego, która dziś jeszcze za wzór służy, podkopało zepsucie obyczajów, i cała potęga cywilizowanego Rzymu nie mogła się ostać przed barbarzyńskimi Teutonami, którzy przestrzegali bezwzględnej czystości. Powaga Tacyta świadczy, że zachowywali oni niezwykłą czystość obyczajów. Kobiety u nich były nadzwyczaj szanowane, przypisywano im cechy boskie, i odgrywały one rolę kapłanek, obdarzonych mocą proroczą i jasnowidzenia. Młodzieńcom nie wolno było się żenić przed dwudziestym piątym rokiem życia t. j. do chwili zupełnego fizycznego rozwoju. Nieczystość przed zawarciem małżeństwa była surowo potępiana zarówno u mężczyzn jak i kobiet. Że ta wielka kwestya moralna jest kwestyą wzrostu i upadku narodów, to świadczy o tem nie tylko historya Rzymu, bo tąż drogą upadła Grecya i Wenecya. Cóż bowiem sprawiło, że najświetniejsza cywilizacya, jaka kiedykolwiek zakwitła w świecie, ta, która dotychczas dla nas jest źródłem niewyczerpanem życia umysłowego, cywilizacya prześwietnej Grecyi, — była tak krótkotrwa-

łą? Chyba nikt nie zaprzeczy, że ten szybki upadek przy tak wielkim rozkwicie życia umysłowego, miał źródło w przyczynach moralnych. Wiadomo bowiem, że w Grecyi towarzyszką mężczyzny, prowadzącego życie rozwiązłe, była wyuzdana, rozpustna hetera! To też pewien anglik, Franciszek Galton, w książce p. t. „Dziedziczny geniusz“, mówiąc o upadku ludu ateńskiego, pisze: „Wiemy, a jeszcze bardziej odgadnąć możemy, czemu ta świetnie wyposażona rasa upadła. Moralność towarzyska rozluźniła się nadmiernie; małżeństwo wyszło z mody i unikano go; większość ambitnych i wykształconych kobiet jawnie zaliczała się do nierządnic i pozostała niepłodną, a matki wzrastających pokoleń pochodziły z klas mieszanych“.

Cała historya poucza nas, w jak wysokim stopniu rozwój i życie społeczeństw zależą od przyczyn moralnych, że ludy zachowujące bezwzględną czystość i szanujące kobietę, są trwałe i pełne życiodajnej siły, że są to rasy rozwijające się i potężniejące tak pod względem intelektualnym i moralnym, jako też pod względem fizycznym i materyalnym, że są to rasy szybko zyskujące przewagę nad innemi.

Jeżeli więc te potężne organizmy społeczne, o tak wysokiej cywilizacyi, zginęły bezpowrotnie z przyczyn moralnych, czyż możemy łudzić się nadzieją, że to prawo inaczej działać będzie odnośnie do narodu polskiego, narażonego na tysiące przeciwieństw, walk i niebezpieczeństw?

A więc, jeżeli jest to sprawa tak poważna, która decydować może o tem, czy społeczeństwo nasze ma się rozwinąć i zakwitnąć w całej pełni, czy też na zawsze zaginąć bez śladu, musimy się nią zająć poważnie i poszukać źródła trapiącej nas bolączki, a zarazem skutecznych środków na nią.

Za pierwszorzędną przyczynę upadku naszych obyczajów uważam podwójną moralność, odrębną dla mężczyzn i odrębną dla kobiet, która od istotnie moralnego kierunku jest bardzo oddaloną! Dlatego też pierwszym krokiem do rozwiązania tego zagadnienia, krokiem, który wszystkie inne wyprzedzić powinien, jeśli wogóle pragniemy jakiejś skutecznej dokonać reformy, musi być przywrócenie moralnego prawa i obalenie podwójnej moralności. Tego wymaga najelementarniejsze poczucie sprawiedliwości!—Każdy mężczyzna, prowadzący życie nawet najrozwiąźlejsze, wymaga od kobiety, z którą wstępuje w związki małżeńskie, bezwzględnej czystości i niewinności. Gdyby zaś dowiedział się, że na życiu dawniejszem jego wybranej jest plama, poczucie doznanej krzywdy doprowadziłoby go do wściekłości, uważałby to za zdradę wierności małżeńskiej, która kobietę obowiązuje już przed ślubem dla przyszłego małżonka.

Skąd takie drakońskie prawo? W jakich warunkach mogło ono powstać i kto mocen jest go obalić? Zdaje się, że w tem jest niemała wina samych kobiet, że tolerowały rozwiązłość mężczyzn, nie stawiając im żadnych wymagań w zakresie moralności, nie wglądając w ich dawne życie przed zawarciem małżeństwa. Wiadomo bowiem jak wiele kobiet uważa mężczyzn, którzy inne kobiety pozbawili czci i niewinności, za pewnego rodzaju bohaterów. Tak nizko upadła już moralna świadomość dzięki ingnorancyi i bezmyślnemu uznaniu kodeksu podwójnej moralności, że znajdują się kobiety, rzekomo chrześcijańskich nawet zasad, które opierając się na wątpliwej wartości powagach naukowych, są przekonane, że tylko istnienie

klasy kobiet upadłych zapewnia spokój i bezpieczeństwo kobietom porządnym, gdyż w razie przeciwnym nie zdołałyby uchronić swego domowego ogniska od plamy, bo namiętności mężczyzny i jego potrzeby „fizyologiczne“ są tak silne, że nieodzownie zaspokojone być muszą. Mam niejeden przykład, jak same matki, ulegając tej błędnej teoryi, czy też zbyt dbając o „zdrowie“ i przyjemności swych synów, ułatwiały im rozpustę. Pewna matka, wysyłając 14-to letniego chłopca do gimnazyum w Odesie, poleciła jego guwernerowi, by wziął dla niego metresę, w celu zapobieżenia zarażeniu, na jakie mógłby się narazić przy zaspakajaniu swych „koniecznych funkcyi fizyologicznych“.

Jest to przykład jakich w odmiennej formie przytoczyć można setki!

Kobiety powinny zająć silny posterunek, by wrócić prawo moralne w całej jego rozciągłości, gdzie byłaby jednakowa norma dla mężczyzn i kobiet. Zresztą jest to zasadnicza podstawa chrześcijańskiej etyki, a zarazem najgłówniejsza prawda życiowa, którą uznać musi każdy, nawet najbardziej ograniczony. — Jeżeli bowiem czystość moralna jest prawem obowiązującem dla kobiety — a żaden mężczyzna temu nie zaprzeczy, bo wymaga jej od swej przyszłej małżonki — jest ona i być musi prawem dla wszystkich kobiet bez wyjątku; jeżeli zaś jest prawem dla każdej kobiety, to siłą logiki jest niem również dla każdego mężczyzny, inaczej bowiem musielibyśmy wbrew wszelkim zasadom moralnym, wbrew sumieniu, wbrew tym głośnym demokratycznym hasłom wolności, równości i braterstwa, wytworzyć klasę kobiet wydziedziczonych, zaprzedaną na zawsze w najohydniejszą niewolę i dozgonne pohańbienie, celem zaspokojenia najniższych instynktów mężczyzn. Wyłania się tedy ewentualne pytanie: skąd ma się rekrutować ta falanga kobiet? Niech je rozstrzygną matki i ojcowie rozpustujących synów, a zarazem niech się zastanowią, czy są gotowi poświęcić także swoje córki!

Niech ci rozpustni synowie rozstrzygają o swoich najbliższych, ale wara im krzywdzić i bezcześcić innych!

Podwójna moralność może być obalona tylko przez kobiety, i to wtedy jedynie, gdy nauczą się one szanować same siebie, gdy żadna szanująca się kobieta nie pozwoli, by w jej domu bywał mężczyzna, który stale przyczyniał się do poniżenia i splamienia innych kobiet, chociaż by to był najlepiej urodzony, najbardziej inteligentny, jak najznakomiciej uposażony; gdy żadna matka, godna tego imienia, i prawdziwie kochająca swoją córkę, nie zgodzi się oddać jej za żonę mężczyźnie, prowadzącemu kiedykolwiek życie niemoralne; gdy żadna kobieta nie zgodzi się poślubić człowieka, który pozbawił czci inne kobiety.

Że kodeks podwójnej moralności tak łatwo się przyjął i silnie korzenie swoje zapuścił, zawdzięczamy to także w znacznej mierze błędnym teoryom niektórych lekarzy, głoszących brednie o „prawie natury“, którego rzekome pogwałcenie przez wstrzemięźliwość płciową, powoduje zaburzenia w organizmie. Inni znowu jak np. Forel, który stosunki płciowe ujmuje w bałamutne ramy etyczne, a szkody z nadużyć płciowych sprowadza do minimum, dają młodzieży zupełną dyspensę na uprawianie rozpusty. Pozory naukowości, które podobne teorye zazwyczaj posiadają, bałamucą umysły w większym jeszcze stopniu i zapewniają tym wywodom nieraz powodzenie na

czas dłuższy. Jako przykład może nam posłużyć książka szwedzkiej autorki Ellen Key pod tytułem „Miłość i małżeństwo". Była ona przez niejaki czas bardzo popularną, póki nie spotkała się ze słuszną odprawą prof. uniwersytetu w Monasterze, Mausbacha, który ostro ją skrytykował. We wspomnianej książce autorka wyraża potrzebę reformatorskich praw, by położyć tamę wyuzdanej zmysłowości, prawa te jednak mają obowiązywać ludzi zwykłych, przeciętnych; „natury wyjątkowe, stojące wyżej" mogą stanowić „samodzielnie" co dla nich i dla społeczeństwa jest dobre. Podług E. Key „jedno jedyne prawo etyczne jest niedorzecznością" — dlatego, że ludzie są różnorodni. Tak np. wstrzemięźliwość płciowa w młodości może podnieść siły dziewięciu młodzieńców z pośród dziesięciu. Dziesiąty wskutek tego może zamienić się w półzwierzę... Wyłącznie zmysłowe przestawanie z sobą różnych płci może w dziewięciu wypadkach na dziesięć obniżyć wartość tak kobiety jak mężczyzny. W dziesiątym wypadku może jednak taki związek pogłębić się aż do uczucia stanowiącego o całem życiu". Jeżeli wprowadzilibyśmy w kodeksie moralności podobne różniczkowanie, jakie wskazuje E. Key, to zapewne zrodziłoby ono najohydniejszą rozpustę w jak najszerszym zakresie! Bo któryż z młodzieży wobec pokus namiętności, słysząc, że jedna reguła dla wszystkich jest „niedostateczną", a „natury wyjątkowe" mogą stanowić same o tem, co dla nich jest dobrem, nie pomyśli, że jego naturze sprzeciwia się wstrzemięźliwość, a właśnie przeciwieństwo wywoła w nim uczucia, stanowiące o całem jego życiu! Kto nie pomyśli, że jest naturą wyjątkową, będąc o sobie zarozumiałym i łatwo ulegającym podnietom zmysłowym!

Tą drogą mógłby iść nie jeden na dziesięciu, jak przypuszcza p. E. Key, ale wszyscy dziesięciu, i przy takiej moralności doszlibyśmy do stanu „półzwierząt". Dlatego też w moralności nie może być przywilejów ani dla ludzi „wyjątkowych", ani dla przeciętnych, ani dla mężczyzn, ani dla kobiet. Wielkość i potęga praw moralnych polega właśnie na tem, że pod jej jurysdykcyę wchodzą wszyscy bez wyjątku, że na wszystkich jednakie ciążą obowiązki. Co do życia płciowego wypowiada się św. Tomasz z Akwinu: „Prawo moralne nie stosuje się do tego, co się dziać może w poszczególnym przypadku, lecz do tego, co się dzieje z reguły i podług praw natury. Dlatego zboczenie płciowe pozostaje zawsze grzechem ciężkim, jeżeli nawet w jakimś poszczególnym przypadku cele natury odnośnie do płodzenia i wychowania potomstwa bywają w poszanowaniu".

Nic nas nie upoważnia do tego, byśmy mieli się obawiać jakiejkolwiek szkody z powodu zachowania wstrzemięźliwości płciowej! Najznakomitsi lekarze angielscy, jak Paget, prof. uniw. w Edynburgu Miller, wypowiadają się w tej sprawie w następujący sposób: „Czystość nie działa ujemnie ani na ciało, ani na umysł, przeciwnie — wpływa doskonale". Jeszcze wybitniej i silniej zaznacza swe stanowisko znakomity angielski specyalista, Wiliam Gowers: „Poglądy, które, opierając się na tak zwanych danych „fizyologicznych", podsuwają lub tolerują nieczystość, mają ogromną przewagę w kołach młodych mężczyzn, lecz są zupełnie fałszywe. Z całą siłą wiedzy, którą zdobyłem i powagi, jaką posiadam, zaręczam, że przekonanie to jest przeciwne faktom; zaręczam, że żaden mężczyzna do obecnego czasu nie był nawet w najniższym stopniu mniej zdrowym z przyczyny wstrzemięźliwości,

ani też zdrowszym przez niewstrzemięźliwość. Niewstrzemięźliwość ludzi bezżennych demoralizuje ich; znaczna ich większość w końcu nadwyręża zdrowie, a dość znaczna liczba w ostatecznym rezultacie dochodzi i zawsze dochodzić będzie do zupełnego życiowego rozbicia o jedną z tych ostrych, zdradliwych raf, lub ugrzęźnie na jednej z tych mielizn, których nikt, wstąpiwszy na daną drogę, minąć nie może. Są tam rafy, o które się miażdżą i rozstrzaskują nieszczęsne istoty, burzą namiętności niesione, i grząskie mielizny, wydzielające zabójcze wyziewy, truciznę, przeciw której niema żadnego antidotum". Grono zaś profesorów wydziału lekarskiego na uniwersytecie w Chrystyanii orzekło przed paru laty, że medycyna nie wykryła dotychczas żadnej choroby, pochodzącej ze wstrzemięźliwości, za to zna bardzo wiele chorób nieuleczalnych, które pochodzą z nadużyć. Te fakty i argumenty powinny przemówić do każdego, kto jest już zdolny do samodzielnego myślenia, i powstrzymać go na pochyłości, by w przepaść się nie stoczył. Niedostateczny byłby to jednak środek do uleczenia młodzieży młodszej, która błądzi przeważnie wskutek naśladownictwa starszych, bo jest tu inna przyczyna — inny też musi być środek!

Wiemy dobrze, iż chłopiec 9-cio lub 10-cio letni, idąc do szkoły, jest dzieckiem zupełnie niewinnem, którego serce żadna brudna myśl nie zdążyła jeszcze splamić. Zapominamy jednak o tem, że właśnie tam jest narażony na zgorszenie i nie dajemy mu żadnej broni przeciw nieuniknionemu niebezpieczeństwu. To też nie możemy się dziwić, że chłopiec pełen żywej ciekawości, pragnący przedewszystkiem podchwycić i naśladować starszych kolegów, by dostroić się do sposobu ich zachowania i nie narazić się na śmieszność i drwinki swoją niewinnością, dumny często z roli powiernika, w jakiej go stawia chłopiec, przewyższający go wiekiem i świadomy już wszelkich „sekretów" życiowych, narażony na słuchanie objaśnień praw i potrzeb własnego organizmu, przedstawionych w kolorach barwnych i podniecających, pada ofiarą zgorszenia choć z gruntu może dobry niewinny. Obserwacya naszej młodzieży daje tysiączne dowody, że większość wchodzi na bezdroża nie wskutek występnych skłonności, lecz z braku rozwagi i znajomości życia przez przejmowanie się dominującym nastrojem młodzieży światowej t. zw. „złotej", która często choć o poziomie moralnym bardzo nizkim, jest prowodyrem całej falangi, która przez obawę śmieszności, by nie uchodzić za „niewiniątka", wpływowi ich ulega. Że zgorszenie działa tak łatwo na młodzież, bez najmniejszej z jej strony oporu, wypływa to stąd, że opuszczając po raz pierwszy dom rodzinny, nie słyszy ona ani słowa przestrogi ze strony rodziców przed złem towarzystwem i zgorszeniem, z któremi w szkole spotkać się może. To też najskuteczniejszym środkiem byłoby roztropne i rozumne uświadomienie przez rodziców, a najlepiej przez matki, i to jeszcze w okresie przedszkolnym. Naturalnie mam tu na myśli uświadomienie, odpowiadające poziomowi umysłu dziecka, zrobione w odpowiedniej formie, w takich słowach i z takiemi zastrzeżeniami, jakie charakter każdego dziecka wskazuje; można je ograniczyć do wiadomości, zdolnych uchronić dziecko od złego przykładu, od nieczystych pojęć i nieskromnych myśli, które przedwcześnie pobudzają jego wyobraźnię, zanim jeszcze natura nie zdążyła rozwinąć w nim męskich instynktów.

Oto, co pisze w sprawie uświadomienia słynny angielski pedagog, kierownik jednej z największych szkół, dr. Butler: „Nie ulega wątpliwości, że chłopcy muszą w dość wczesnej epoce dowiedzieć się o naturze stosunków płciowych. Któż ich o tem ma najprzód poinformować? Czy ma się to dokonać w sposób brutalny, nieprzyzwoity, sprośny? Czy ma tych wiadomości udzielić jaki rozswawolony chłopak stajenny lub też rozwiązła sługa? Czy w najgorszym razie — rozpróżniaczona, zepsuta szajka uczniów w szkole, która w ciągu pierwszych dni, a czasem godzin, otacza świeżo przybyłego kolegę i bierze na próbę jego naiwność, ze znaczącemi spojrzeniami z podchwytliwemi słówkami, sondując jego dziecięce wiadomości, zawstydza go i rozbudza ciekawość dokładniejszych informacyi w kwestyi tych ponętnych tajemnic? Czyż wszelkie wskazówki ludzkości i rozumu nie prowadzą do wniosku, że początki tej wiedzy powinny być udzielone w skojarzeniu z tem wszystkiem, co jest miłem, serdecznem, czystem i świętem, zamiast w mgle aluzyi lub przystrojone w bezwstydne i zwierzęce formy?—Uznaję więc jako zasadę, niedopuszczającą wyjątków, że nie należy żadnego chłopca oddawać do szkoły póty, póki ojciec, matka lub ktokolwiek starszy, nie objaśni mu prostych faktów, odnoszących się do spraw rozmnażania i nie wskaże niebezpieczeństw, płynących z czynienia tych poważnych zjawisk tematem lekkomyślnych i swawolnych rozmów“.

Te dwie drogi — obalenie podwójnej moralności i uświadomienie—uważam za pierwszorzędne przy podniesieniu poziomu moralnego, aczkolwiek jest tak wiele środków, jak wiele jest przyczyn, które stan obecny wytworzyły.

Sprawy tej w zwykłym artykule wyczerpać nie można, bo jest ona tak poważna, że winna być rozpatrzona w obszerniejszej pracy i zasługuje na badanie pedagogów, polityków i socyologów, a nie zwykłych obserwatorów. To też sądzę, że będzie ona poruszana przez powołanych do tego i nie zejdzie z porządku dziennego dopóty, dopóki sama siłą rzeczy narzucać się nie przestanie.

Bronisław Załuski.

Ze studyów nad Słowackim.

KORDYAN*).

Podobno w przeciwieństwie do bohatera słowa, Konrada, w „Kordyanie“ Słowacki chciał stworzyć rycerza czynu. Podobno przeto Kordyan miał przewyższyć Konrada, a twórca jego wziąć górę nad Mickiewiczem. Podobno autorowi Kordyana to nie powiodło się, czy nie całkiem udało.

*) Fragmet z przygotowywanego dzieła o Słowackim.

Zdaje mi się, że próżna to i obojętna sprawa wnikać, czem właściwie miał być Kordyan, a dopiero urządzać obszerne badania za pomocą materyału biograficznego. Owszem to wszystko bardzo cenne i zajmujące, ale dla sądu o Kordyanie zupełnie bez znaczenia. Bo nie o to chodzi, czem miał być, ale czem jest. W tem rzecz, co Kordyan przedstawia w dzisiejszym stanie.

I wtedy trzeba powiedzieć, że bynajmniej nie jest bohaterem czynu. Raczej odwrotnie—człowiekiem bez czynu, co najwyżej marzycielem o czynie, ale do czynu całkiem niezdolnym.

Już od początku dwie władze duszy walczą w nim: chęć do czynu, pragnienie, marzenie o myśli wielkiej, której stanie się narzędziem i którą dokończy życiem. Słowem pragnie oddać się idei. Ale to tylko marzenie, marzenie jako tamto o sławie, o dźwięku trąb wojennych. Zmysł krytyczny, niemiłosierna autoanaliza szepce mu, że nie dokona myśli, że nie spełni niczego. „Mogłem być czemś, będę niczem". Marzenie włada nim i marzeniem jego miłość do Laury. Sentymentalizm, kochający się w sobie: przedmiot uczucia nie jest jako u normalnego człowieka zewnątrz niego, ale w nim samym i tylko przypadkowo (niecałkiem tak, ale o to mniejsza tutaj), przeniesiony na Laurę, bajronistkę, smagającą nerwy rozstrojone. „Źle, jeśli się będzie marzeniem zapalał".

I to takie charakterystyczne. Nie zastrzelił się, nie przypadkowo, a raczej siła mu nie dopisała, strzelił mimo, ożył. Do samobójstwa trzeba choć chwilowego skupienia woli w jednym punkcie. Kordyanowi brak tego.

I oto błądzi po świecie. Po Laurze przychodzi Violetta.

„Pierwsza miłość" nauczyła... nauczyła nie ważyć miłości. Zabawka to, zapomnienie—z miłością skończył, doświadczalnie stwierdził wartość. Oto miłość sentymentalisty—miłość Hamleta do Ofelii, Werthera do Lotty. Miłość w sobie i dla siebie.

I zdaje mu się—przypadkowo, oczywiście całkiem przypadkowo—ot tak marzycielowi przychodzi fantazya, że Polska Winkelriedem narodów. A że właśnie jest w nastroju i na Montblancu górnie rozmawia z chmurami, więc bierze fantazyę za tę myśl wielką, „poświęca" się jej, oddaje życie i już widzi, jak ta myśl świat zdobywa, jak przyroda nawet jej służy — chmury—obłoki Baudelaire'owskie—anywhere of the world—znoszą go do kraju.

Przedziwnie ironicznie tu marzyciel wystawiony. Zaczyna się tragi-komedya czynu Hamleta polskiego. Tragedya człowieka niezdolnego do czynu. Wystarczy przejrzeć mowę Podchorążego do spiskowych. Jego gorączkowe szukanie wiary u innych, aby ją znaleźć w sobie. A to próżna, tylko w tego uwierzą ludzie, co ją ma w sobie i w siebie. Komu potrzeba, aby weń inni wprzód uwierzyli, ten nie posiędzie wiary nigdy. Tyle w treści. A w sposobie mówienia znowu to samo: marzeniem się zapala. Rozpłonął i idzie na wartę w nocy zabijać—nie zabić. Bo zanim przejdzie próg komnaty sypialnej, Strach i Imaginacya dobiją siłę jego t. j. marzenie zatłumi próbę czynu.

Scena ze Strachem i Imaginacyą to wspaniałe wydobycie na wierzch duszy Hamletowskiej. Odsłaniają się sprężyny mechanizmu mózgowego· widzimy Psychę, rozkrojoną aż do dna. Oto antyteza do Improwizacyi. Tam

człowiek — tytan zmaga się z Bogiem, tu człowieka—cienia pochłania rozszalały odmęt własnej duszy—marzenia.

Kordyan przeciwstawieniem Konrada, ale innem niż się mniema zwykle. Nie stoją przeciw sobie człowiek słowa i człowiek czynu, ale człowiek mocny, walczący z życiem i człowiek słaby, niezdolny do życia. W Kordyanie cała jedna strona natury polskiej: marzycielstwo. Kordyan to jeden z Wenedów, skazanych na śmierć po życiu trzydniowem.

Kierunek to Polaka z r. 63. I niedaremno powstańcy rozpalali się „Kordyanem". Tylko pojmować go prostolinijnie jako typ w pojęciu poety dodatni—to naiwność. Tu podobieństwa i różnice ze Szczęsnym z „Horsztyńskiego". Tylko Szczęsnemu powody zewnętrzne przeszkodą do czynu: że synem hetmana Kossakowskiego. Kordyan ich nie ma. Kordyan przeto typ czystszy, prostszy — dlatego też na końcu autoanaliza zamilka, już dawniej uczyniła swoje. Szczęsny bardziej zwikłany, ale i rzeczywistszy. Kordyan, to Hamlet przeniesiony w polskie stosunki, raczej Hamlet uproszczony, sprowadzony do linii zasadniczej, do najkrótszej formuły. I dlatego irrealny. Bo typów niema w życiu, tylko w oderwaniu czy w pojęciu naszem. A że Kordyan taki, przeto kluczem do jednego piętra wieży z kości słoniowej Słowackiego.

Ks. Kamil J. Kantak.

INSTYNKT CZY ROZUM?

(Szkic z psychologii porównawczej).

Modna dzisiaj teorya przyrodniczo-psychologiczna głosi, że pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem niema żadnej istotnej różnicy, że ich władze psychiczne są zupełnie jednakowe, a tylko w stopniu wydoskonalenia tych władz różnica da się zauważyć.

Twierdzenie to jest tak rozpowszechnione w popularnej literaturze naukowej, skąd przenikło i w umysły czytelników, że uważa się za nienaukowe nawet podnoszenie kwestyi różnicy w życiu psychicznem człowieka a zwierząt.

Owe poglądy panujące nie mają jednak zwolenników wśród badaczy psychologów, lecz zostały stworzone przez popularyzatorów wiedzy przyrodniczej, niedostatecznie obznajmionych z metodami naukowemi *). Autorzy, o których mowa, rozstrzygają problematy psychologiczne w bardzo prosty sposób: badając jakąś czynność zwierzęcia, stawiają siebie na miejscu tego ostatniego i swoje procesy myślowe uważają za identyczne z pracą umysłową zwierzęcia. Błąd ten, wynikający z nieznajomości dokładnych

*) E. Wasmann. „Instinkt und Intelligenz im Tierreich".

metod psychologicznych, potęguje jeszcze dążność przedstawienia zdolności intellektualnych zwierzęcia w świetle bardzo jaskrawem. Nic więc dziwnego, że gdzie brak krytyki naukowej, fantazya obserwatora połączona z chęcią upiększenia, doprowadza go do wniosku, że zwierzę posiada ludzki rozum.

Niewątpliwie celowe czynności zwierząt zawsze możemy sprowadzić do formy logicznego wnioskowania, gdyż posiadając rozum, jesteśmy skłonni tłomaczyć w ten sam sposób i czynności innych stworzeń. Ale na tej samej zasadzie moglibyśmy dojść do przekonania, że kropla wody posiada również rozum, ponieważ, spotykając przeszkodę, zatrzymuje się jakby zastanawiając, a następnie płynie w kierunku najmniejszego oporu. Oczywistem jest, że skoro w przyrodzie wszystko podlega rozumnym prawom i życie psychiczne zwierząt musi wykazywać rozum, który my w badaniach odnajdujemy. Ale czy ten rozum, przejawiający się w czynnościach zwierząt, jest ich własnym i czy zdają sobie one z niego sprawę? *).

Psycholog tej miary, co Wundt, odpowiada na powyższe pytanie przecząco i twierdzi, że, jeżeli zawsze będziemy starali się objaśnić zjawisko w sposób najprostszy, to cały „rozum" zwierzęcia sprowadzi się do prostych praw kojarzenia wyobrażeń (assocyacyi), podczas gdy we wszystkich wypadkach, gdzie mówi się o formalnem wnioskowaniu zwierzęcia albo o czynnym udziale rozsądku lub fantazyi, zauważymy brak odpowiednich oznak **).

Wszystkie poruszone tutaj kwestye, doskonale oświetla E. Wasmann w swem pomnikowem dziele: „Instynkt i rozum w państwie zwierząt". Oczywiście, że przy rozwiązywaniu zagadnień psychologii porównawczej, Wasmann ucieka się tak samo do porównywania życia psychicznego zwierzęcia ze swem własnem, ale czyni to w sposób krytyczny, opierając się na następującem zasadniczem prawie rozumowego objaśniania przyrody: powinniśmy się starać tłómaczyć zjawiska możliwie najprościej i nie powinniśmy przypisywać zwierzętom wyższych psychicznych zdolności, aniżeli to jest potrzebne do wytłómaczenia obserwowanych faktów.

Człowiek w sobie samym może zauważyć dwie główne grupy procesów psychicznych: nieświadomie celowe i świadomie celowe, t. j. instynktowne i rozumne. Gdy niemowlę uczuwa głód i objawia to uczucie za pomocą grymasów i krzyku, to związek pomiędzy cielesnym stanem potrzeby pokarmu i psychicznem odczuciem tej potrzeby, pomiędzy duchową oznaką niezadowolenia i zewnętrznem ujawnieniem go za pomocą odpowiednich mięśni, powodujących krzyk, jest instynktowny t j. nieświadomie celowy.

Takich zjawisk w życiu psychicznem człowieka jest bardzo wiele i one to tworzą najprostsze formy duchowej jego działalności.

Jakież więc czynności należy uważać za instynktowne?

Każdy się zgodzi, że instynktowne czynności nie są to ani odruchy, ani czynności rozumne.

---

*) Fonsegrive. Psychologia.

**) Wundt. Wykłady o duszy człowieka i zwierzęcia.

Odruchami nazywamy takie celowe procesy w żywym organizmie, które znajdują się w istotnej zależności tylko od podrażnienia nerwów ruchowych; nerwy czuciowe zaś mogą być podrażnione lub nie i podrażnienie ich ma tutaj znaczenie drugorzędne.

Do czynności odruchowych zaliczamy np. ruch mięśni sercowych, lub też ruch kiszek przy trawieniu, ani jednych ani drugich zupełnie nie odczuwamy.

Odruchy polegają jedynie na mechanizmach nerwowych; psychiczny moment nie jest w nich istotnym. Inaczej rzecz się ma przy procesach instynktownych; tutaj wrażenie jest *przyczyną* odpowiednich działań celowych.

W przytoczonym powyżej przykładzie z niemowlęciem, krzyk jest instynktownem wyrażeniem uczucia głodu, pociągu do pokarmu.

Ponieważ mamy do czynienia z psychicznym elementem, z wrażeniem, uczuciem, więc krzyku tego nie nazwiemy odruchem. Nie nazwiemy go też czynnością rozumną, ponieważ mały krzykacz wrzeszczy bez świadomego zamiaru, ponieważ nie zdaje sobie sprawy z celowości swego celowego krzyku. A zatem pojęcie celu jest głównem kryteryum i istotnym elementem, odróżniającym rozumne czynności od instynktownych.

Skoro odróżniliśmy czynności instynktowne od czynności rozumnych, możemy określić, co to jest rozum, a co to instynkt.

Rozum — rozsądek oznacza wyłącznie zdolność poznawania wzajemnych stosunków pojęć i wyciągania z nich wniosków. Wskutek tego pojęcie rozumu obejmuje pojęcie abstrakcyi, a zatem zdolność odróżnienia cech wspólnych oddzielnych pojęć, możność połączenia cech wspólnych w całość i utworzenia w ten sposób pojęcia ogólnego. Dalej oznacza ono również zdolność rozumowania, wskutek której przedmiotem myślenia może być stosunek środków do celu i podmiotu do swych własnych czynności, dzięki czemu rozumna istota otrzymuje zdolność poczucia swego własnego istnienia i swobodnej, rozumowej działalności.

Dowieść, że zwierzę posiada rozum, znaczy dowieść, że zwierzę posiada wszystkie wymienione powyżej władze.

Nie mamy prawa przypisywać zwierzętom żadnych wyższych zdolności niż te, które one okazują. Jest to niezbity, zasadniczy pewnik psychologii naukowej i on to daje nam prawo, a nawet obowiązuje nas uważać za rozumne tylko takie duchowe czynności zwierząt, w których wyraźnie i niewątpliwie ujawnia się subjektywne pojęcie celu, formalna zdolność wnioskowania, duchowa zdolność abstrakcyi. Wszystkie zaś zjawiska, które można dostatecznie wyjaśnić za pomocą kojarzenia wyobrażeń, należy uważać za instynktowne.

Instynktem będziemy nazywali wewnętrzny pociąg, pobudzający do czynności, których celowość leży po za obrębem sfery poznania danego podmiotu.

Instynkt kieruje młodego ptaka, który jeszcze nie zna ani jednego gniazda swego gatunku, aby znosił trawki, słomki i piórka i wił z nich gniazdo, w którem będzie wysiadywał przyszłe pisklęta; przecie z osobistego doświadczenia ani też własnego rozumowania ptak nie wie, że będzie znosił jaja, a następnie je wysiadywał!

Instynkt zmusza psa, chorego na tasiemca, do zjadania ziół, które go

wyleczą, ponieważ gdyby to był owoc jego rozumowania, musielibyśmy przypuścić, że pies uczył się medycyny.

Pozostaje do rozpatrzenia jeszcze jedna kwestya, mianowicie jakie może być źródło rozmaitych celowych środków instynktownych i rozumnych, którymi rozporządza człowiek lub zwierzę t. j. innemi słowy, jak nauczyć się może człowiek i zwierzę tylu czynności rozumnych, które utrzymują go przy życiu.

Wasmann wskazuje sześć sposobów nabycia tych wiadomości, które dzieli jeszcze na dwie grupy.

I. Samodzielne uczenie się:

1. Za pomocą instynktownego przyzwyczajenia w pełnieniu wrodzonych odruchowych mechanicznych czynności, które powodowane są przez mięśniowe czucie podmiotu.

2. Za pomocą czuciowego doświadczenia, przyczem za pośrednictwem jego tworzą się nowe kojarzenia wyobrażeń i dążności. (Czuciowa pamięć).

3. Za pomocą czuciowego doświadczenia i rozumnego wnioskowania nowych stosunków z poprzednich. (Czuciowa pamięć i rozum).

II. Uczenie się dzięki pobocznemu wpływowi:

4. Za pomocą wzbudzenia dążności do naśladowania, pochodzącej z przykładu innych.

5. Za pomocą tresury, skutkiem której człowiek utwierdza w innych stworzeniach nowe kojarzenia wyobrażeń i dążności według własnego planu.

6. Za pomocą rozumowej nauki (Unterricht), z której pomocą jedno rozumne stworzenie uczy drugie nie tylko tworzyć bezpośrednie kojarzenie, lecz także wyprowadzać nowe wnioski z poprzednich wiadomości.

Rozpatrzywszy olbrzymi materyał faktyczny w postaci przykładów, nagromadzonych przez siebie i innych uczonych i uwzględniwszy specyalnie przykłady „rozumnych" zwierząt, przytaczane przez przeciwników, Wasmann dochodzi do wniosku, że wszystkimi sześciu sposobami nabywa nowe wiadomości tylko człowiek. Zwierzę zaś, zależnie od swych psychicznych zdolności, nabywa je albo w sposób pierwszy, albo w pierwszy i czwarty, albo razem pierwszy, drugi, czwarty i piąty. Tylko t r z e c i i s z ó s t y sposób uczenia się dowodzi, że uczący się włada rzeczywistym rozumem, pozostałe formy nie dają na to żadnego dowodu, a ponieważ trzeciego i szóstego sposobu nabywania wiadomości zwierzętom brak, więc zwierzęta rozumu nie mają.

Człowiek posiada instynkt i rozum, zwierzę tylko instynkt.

Dla zilustrowania końcowych wywodów przytoczę dwa z pomiędzy licznych przykładów Wasmanna. Lubbock w dziele „On the Senses“ opowiada o swych próbach z pudlem „Van'em“, którego starał się nauczyć myśleć.

Lubbock chciał z początku nauczyć pudla czytać i w tym celu wydrukował dużemi literami na oddzielnych tabliczkach: food („jedzenie“) i inne pojęcia o ile można najbliższe „psiemu rozumowi" a następnie nauczył psa, kiedy ten uczuwał głód, przynosić tabliczkę z napisem *food*, a kiedy chciał pójść na spacer, z napisem *aut* („precz") i t. d.

Po długiej mozolnej pracy udało mu się osiągnąć rezultaty z niewielką liczbą słów.

Konkretny związek dźwiękowego wrażenia *food* z wzrokowem wrażeniem pewnego stałego szeregu liter utrwalił się w czuciowej pamięci pudla równie dokładnie, jak i doświadczalne poznanie, że otrzyma on kromkę, gdy pan zawoła *food*.

W ten sposób na zasadzie praw kojarzenia wyobrażeń do uczucia potrzeby pokarmu w psim mózgu dołączyło się takie wyobrażenie tabliczki z napisem *food*; z tych powodów pies przynosił tę tabliczkę, gdy uczuwał głód.

Mamy więc tutaj do czynienia z połączeniem II-go i V-go sposobu nabywania wiadomości (porów. wyż.). Gdyby pies władał rozumem, chociaż nawet „ograniczonym psim rozumem", to przy pomocy tego środka mowy, jaki nabył, powinien był się rozwinąć i otrzymać bodziec do samodzielnej pracy. (Porówn. VI sposób). To jednakże nie nastąpiło. Pies poprostu zatrzymał się na kojarzeniach otrzymanych dzięki rozumowi nauczyciela i niezdolny był rozwijać ich dalej. Nie przyszło mu zupełnie do głowy nauczyć języka, który nabył, swą małą przyjaciółkę „Panthias", pokojową suczkę swej pani, i odwrotnie taż suczka nie wpadła na myśl użyć na swą korzyść sposobu postępowania „Van'a" i przynosić tabliczkę z napisem *food*, kiedy uczuwała głód, chociaż Lubbock świadczy, że „Panthios" często widziała, jak „Van" przynosił tabliczkę.

Porównamy teraz „rozumnego psa" Van'a z Laurą Bredgmen, która w drugim roku życia postradała zupełnie wzrok i słuch, a powonienie i smak od tego czasu ma bardzo przytępione; pozostał jej więc tylko dotyk i—rozum.

Dr. Howe, zajmujący się dziewczynką, niezależnie od tak ograniczonego środka porozumiewania się (dotyk) doszedł do zdumiewających rezultatów, o całe niebo przewyższających rezultaty otrzymane z „Van'em", chociaż ten ostatni miał wszystkie zmysły zdrowe. Dr. Howe doprowadził dziewczynkę do *zrozumienia* i poznania otaczających ją przedmiotów, nauczył ją *czytać i pisać* za pomocą liter wypukłych.

Oto co mówi Dr. Howe:

„Pierwsze doświadczenia odbywały się w ten sposób, że brano przedmioty codziennego użytku np. noże, widelce, łyżki, talerze i t. p. i naklejano na nie karteczki z wypukłemi napisami nazw tych przedmiotów. Laura starannie obmacywała je i rzeczywiście wkrótce zauważyła, że wygięte linie napisu *spoon* (łyżka) różnią się od wygiętych linii *key* (klucz), a sam przedmiot (łyżka) różni się od klucza. Następnie dano jej same karteczki z napisami; Laura zauważyła, że to te same napisy, które były na przedmiotach. Okazała to w ten sposób, że kartkę z napisem *key* położyła na klucz, a *spoon* na łyżkę. Aż do tej chwili nauka była najzupełniej mechaniczną, a rezultat mniej więcej taki, jak nauczenie psa szeregu sztuk. Lecz teraz zaczął pracować jej rozum, prawda błysnęła w jej duszy i *zrozumiała*, że istnieje środek, za pomocą którego może zrobić znak, odpowiadający temu, co odbywa się w jej własnej duszy i pokazać to drugiej osobie. Twarz jej ożywił ludzki wyraz. Przestała ona być stworzeniem czuciowem, kierowanem przez instynkt; stała się nieśmiertelnym duchem, chciwie chwytającym nowy środek do stosunków z innemi duszami. Mogłem prawie określić moment, kiedy prawda zarodziła się w jej duszy i rozlała promienie po twarzy dziecka. Ujrzałem, że

największa przeszkoda usunięta, i że odtąd potrzeba tylko cierpliwych i wytrwałych, lecz prostych wysiłków".

Inne przykłady „rozumnych zwierząt" tak samo nie dowodzą rozumu, jak przykład „Van'a".

Rozpatrzmy jednak jeszcze jeden: mianowicie „najmądrzejszą ze wszystkich małp" samicę szympansa „May'ę", znajdującą się w wiedeńskiem Wiwaryum. „Maya" mieszkała przez zimę ze swą służącą w jednym pokoju. Kraus, inspektor zwierzyńca, zauważył, że służąca wyręczała się szympansem w niektórych czynnościach np. w paleniu w piecu. Na komendę służącej małpa wyrzucała popiół z pieca, przynosiła drzewo i wiórki, zapalała zapałkę a od niej wióry i drzewo.

D-r Knaner uważa ten przykład za argument pobijający Wasmanna i dowodzący logicznego myślenia małp.

Tymczasem w danym wypadku nie wchodzi w grę ani III-ci ani VI-ty sposób nabywania wiadomości (porów. wyż.), lecz I, II i IV-ty sposób t. j. małpa na zasadzie zdolności tworzenia drogą osobistych wrażeń i doświadczenia pewnych nowych wyobrażeń, dzięki obcowaniu z niańką, która wpływała na nią, stwarzając pociąg do naśladownictwa i za pomocą nieświadomej lub świadomej tresury, nauczyła się stopniowo czynności, związanych z paleniem w piecu.

Niema tu jednak dowodów, aby małpa wyciągała rozumne samodzielne wnioski!

Słowem, że dochodzimy ostatecznie do wniosku, który był wyrażony wyżej, iż człowiek posiada instynkt i rozum, zwierzę zaś tylko instynkt.

Z. Fedorowicz.

Stanowisko współczesnego studenta wobec Kościoła katolickiego.*)

Niniejszą rozprawkę pragnąłbym poprzedzić kilkoma słowami wstępu natury osobistej. Nie należę bynajmniej do Kościoła katolickiego — co więcej byłem przez szereg lat jego zaciętym przeciwnikiem, ponieważ w czasie pobytu w okolicy, zamieszkałej przez katolików, miałem dostateczną sposob-

*) Rozprawa niniejsza wyszła z pod pióra dr. Fr. W. Foerstera, cieszącego się zasłużoną sławą w świecie naukowym, profesora filozofii i pedagogiki na uniwersytecie w Zurychu. Znalazłszy tę interesującą pracę w „*Jahrbuch moderner Menschen*" zwróciliśmy się do autora o pozwolenie przekładu, które też uprzejmie zostało nam udzielone. Tłomaczenia rozprawy dokonał dr. Jan Błeszyński. Dla informacyi ze względu na temat artykułu dodajemy, iż prof. Foerster jest protestantem.

ność poznania wielu nadużyć, wybryków i słabości w dziedzinie katolickiego duszpasterstwa i katolickiej propagandy. Dla braku znajomości życia i ludzi zarzucałem instytucyi jako takiej to, co jest wynikiem niedoskonałości ludzkiego materyału, którym na tym świecie musi przecież posługiwać się każda, chociażby najwspanialsza idea i każda, choćby na najszerszą skalę pomyślana instytucya.

Zajmowanie się etycznemi podstawowemi zagadnieniami społecznemi, jak również teoretyczne i praktyczne badania problemu kształcenia się charakteru doprowadziło mnie do tego punktu widzenia, z którego w nowem oświetleniu patrzę na kulturalne znaczenie kościelnych instytucyi. Dzisiaj nie wątpię już na podstawie własnego doświadczenia, że namiętne uprzedzania tylu współczesnych wobec Kościoła katolickiego ostatecznie wyjaśnić należy brakiem sposobności i ochoty do zajmowania się za pośrednictwem bacznej obserwacyi i wytężonego myślenia istotą człowieka, jego siłą i słabością, jego potrzebami i warunkami życia. Cały szereg w błąd wprowadzających abstrakcyi i złudzeń współczesnego zapatrywania się na życie tutaj właśnie ma swoje źródło.

Odnosi się to przedewszystkiem do stanowiska, jakie świeżo zajęła znaczna część uczącej się młodzieży wobec Kościoła katolickiego, z okoliczności ruchu przeciw korporacyom katolickim w wyższych niemieckich zakładach naukowych. Przy tej sposobności podstawowa nieznajomość tego przeciw czemu walczono, wystąpiła w sposób tak przykry, że dłużej milczeć nie mogłem i zwróciłem się z następującą odezwą do poważnych żywiołów akademickiej młodzieży.

Wychodzę zaś z tego założenia, że jedyne racyonalne stanowisko, jakie niekatolicka młodzież powinna zająć względem Kościoła katolickiego zawiera się znowu w znaczeniu wyrazu „student": rzecz powinno się przedewszystkiem gruntownie przestudyować, a potem wyrok wydawać. Młodzież dzisiejsza jednak nie zajmuje tego, jedynie zgodnego z swoją godnością stanowiska. Natomiast słyszy się sądy, na podstawie których możnaby wnioskować, że wiedza stała się dziś jedynie „rzemiosłem", a nie podtrzymaniem ducha i systemem myślenia, który swoich wyznawców obowiązuje do szlachetnego umiarkowania w wypowiadaniu sądów we wszystkich zagadnieniach; umiarkowanie to zresztą powinnoby wynikać z przyzwyczajenia do prowadzenia sumiennych, niespaczonych uprzedzeniami badań. Należy zatem ganić nie zajęcie przeciwnego choćby jaknajbardziej radykalnego stanowiska, ale ową wspartą na zupełnej nieświadomości lekkomyślność, z jaką dzisiejsi młodzi ludzie, wyznawcy przedmiotowej metody badania, uwalniają się tak łatwo od obowiązku gruntownych studyów wówczas, gdy chodzi o sądzenie instytucyi, które są zbiorem zasad innej kultury, innej psychologii i odrębnego światopoglądu, niż ten pod którego wpływem został wychowany niekatolik.

Można być skrajnym przeciwnikiem ruchu kobiecego; — jednakże ten, kto chce, aby go brano poważnie, musi w sposobie argumentowania udowodnić, że zna gruntownie nędzę zarobkowania, duchową pustkę i obyczajowe konflikty, na tle których ujawnił się ów ruch i że postulaty jego badał u pierwszorzędnych źródeł. Można być skrajnym przeciwnikiem socyalnej

demokracyi, ale trzeba wykazać koniecznie, że doszło się do tego przekonania pomimo zupełnej świadomości bezmiaru społecznej nędzy, po gruntownem zapoznaniu się z istotą współczesnego ruchu robotniczego i po przestudyowaniu klasycznych bez z góry powziętych uprzedzeń autorów socyalizmu. Bezwątpienia tę samą zasadę należy stosować w stosunku do Kościoła katolickiego. Niemożna zaiste rościć sobie prawa do nazwy przedstawiciela nauki, jeżeli w tak ważnej kwestyi zajmuje się pewne określone stanowisko przed zbadaniem społecznych, psychologicznych i pedagogicznych podstawowych zasad, na których opierają się wszystkie instytucye Kościoła — gdy wyrokuje się, nie przeczytawszy klasycznych autorów i apologetów, gdy wogóle nie zapoznało się sumiennie z istotą i myślą przewodnią teoryi oraz praktyk katolickich. Inteligencya nasza zajmuje się żywo religijnymi obyczajami wyspiarzy z Fidżi lub mieszkańców Tybetu; natomiast nieznajomość Kościoła katolickiego w tej samej sferze woła wprost o pomstę do nieba — a przecież jest to instytucya, która nie od dziś, nie od wczoraj istnieje i nie przez kilku głupców lub pedantów jest kierowana: wszakże Kościół katolicki jest matką całej naszej kultury; wszakże jego zasady od tylu wieków były źródłem ożywczem dla tylu dusz wzniosłych i szlachetnych — wszakże dziś jeszcze wszystkie narody mają licznych, poważnych i życiowo doświadczonych wyznawców; wszakże dziś jeszcze jego zakony i organizacya dają przykłady poświęcenia, których mu zazdroszczą.

Nie mam zamiaru kreślić apologii Kościoła. Pragnąłbym raczej tutaj udzielić niekatolickim studentom kilku wskazówek, jak należy pozbyć się niewolniczych uprzedzeń wobec Kościoła katolickiego, a zająć się poważnem badaniem jego form i ducha. Nie wychodzę tutaj z żadnych teologicznych założeń, lecz poprostu rozpatruję kilka głównych oskarżeń, stawianych Kościołowi katolickiemu ze stanowiska socyologicznego, psychologicznego i pedagogicznego i staram się wykazać, że tam właśnie istnieją głębokie zagadnienia, gdzie ich obecności zaprzeczają—zagadnienia, których dotychczas może nie zauważono i nie umiano ocenić-

Na pierwszym planie stoi sprawa autorytetu Kościoła katolickiego. Niektórzy utrzymują, że zasadę autorytetu należy bezwzględnie odrzucić, jako bezużyteczny zabytek zamierzchłych ustrojów życiowych. Stawiają natomiast jako pewnik, że człowiek w zakresie religijnym i obyczajowym tylko tem powinien się kierować, co własnym rozumem zbadać lub we własnej duszy przeżyć może. Przypatrując się bliżej temu pewnikowi, widzimy, że nie jest on wynikiem najnowszych czasów i że nie może wogóle powoływać się na głębsze socyologiczne lub psychologiczne badania.

Bo pytam się tylko: czy prawdą jest, że każda jednostka posiada zdolność pojmowania zasadniczych prawd religijnego i etycznego życia? Czy można w tym razie mówić o kompetencyi? Jakąż kompetencyę do badania i stwierdzania najwyższej prawdy życiowej posiada np. młody student lub pomocnik handlowy, w abstrakcyach pogrążony mól książkowy lub mający na głowie tysiące interesów finansista? Jaką kompetencyę posiadają w tym kierunku niewiasty czy mężczyzni wszystkich warstw społecznych, którzy są niewolnikami swoich własnych namiętności i przyzwyczajeń i nie mogą nigdy wznieść się ponad swoje własne, fragmentaryczne doświadczenie życio-

we? Ponieważ ludzie nie posiadają wcale skłonności do *poznania samych siebie*, co jest pierwszym warunkiem wszelakiej mądrości: — i tacy mają być prawodawcami i komentatorami fundamentalnych zagadnień życia? Niezliczona ilość ludzi nie potrafi zrozumieć psychologii własnych dzieci, z których istotą zjednoczeni są węzłami pokrewieństwa, z któremi łączy ich życie codzienne, i tacy ludzie mają posiadać moc rozwikłania zagadnień i rozpatrywania wyników badań, które wymagają jaknajgłębszego wniknięcia w tajniki ludzkiej natury? Jakże nieskończenie rzadko znajdzie się człek szczęśliwy, który zrozumie psychologię nieszczęśliwego; bogacz, pojmujący biedaka,—biedak, który sprawiedliwie oceni bogacza według wewnętrznej jego wartości, kierujących nim motywów, — a przecież wszyscy ci ludzie, znający tylko *jedną* stronę życia i człowieka, mają posiadać zdolności do wydawania sądów o poglądach na życie, które czerpią się z jego całokształtu na podstawie wszechstronnych badań! A jakże szczupłą jest garstka ludzi, którzy potrafią wysnuć racyonalne wnioski z doświadczeń i przygód życiowych; jakże niewielu potrafi wskazać związek przyczyny i skutku w przebiegu swojego żywota! Jakiegoż trzeba do tego bezwzględnego samopoznania, ileż nieegoistycznej wyniosłości, która pozwoliłaby wznieść się ponad to, co się przeżyło! Iluż jest duchowo upośledzonych, wycieńczonych lub osłabionych, którzy gwałtownie potrzebują oparcia się o niewzruszone normy i dążenia, których indywidualny sposób myślenia zawsze mniej lub więcej pozostaje pod wpływem rozmaitych prądów, działających na ich skłonności i stosunki; — co oni poczną z odwoływaniem się do indywidualnego rozumu i indywidualnego sumienia? Słyszałem raz, jak homoseksualista rozprawiał o swoich etycznych i religijnych przekonaniach: okazało się, że wynurzenia te są odbiciem jego przewrotnych popędów. Sądził jednakże, że one są wynikiem rozumu. A ponieważ wskazywali mu niektórzy jego biedny indywidualny rozum jako ostatnią instancyę, przeto biedaczysko był w położeniu owego topielca z bajki, który miał chwycić się za własną czuprynę, aby wydobyć się z bagna.

Zapewne dobra i konieczna jest wpajać w człowieka przekonanie, że wzniosłość i głos Boga są obecne w jego indywidualności, w jego rozumie i sumieniu.

Ale właśnie Kościół położył najsilniejszy nacisk na to indywidualne sumienie.

Quidquid fit contra conscientiam aedificat ad gehennam" powiedział Sobór Lateraneński. Jednakże indywidualne sumienie wymaga pilnej korektury, budzenia i zabezpieczania przy pomocy ustawicznego pobożnego porównywania z uświęconemi i wypróbowanemi prawdami, których jest rzecznikiem. Zegarek służy do kontrolowania czasu w celu urządzenia odpowiednio zamierzonych czynności; dokądby jednakże doszło, gdyby posiadacz zegarka nie regulował go według słońca, lecz posuwał wskazówki według indywidualnych spekulacyi, osobistych wrażeń, czy potrzeb. Znaczenie sumienia polega właśnie na tem, że w jego głębi odzywa się i tłumi naszą samowolę coś nadosobowego — coś, co prostuje nasze subjektywne uprzedzenia. Czyż właśnie dla ochrony tej świętości nie powinno się porównywać ustawicznie głosów sumienia z uświęconą tradycyą prawdy, która jest

najwyższą instancyą dla naszych orzeczeń? Czy w przeciwnym razie nie grozi nam niebezpieczeństwo, że owo niższe nasze „ja“ sfałszuje sumienie, że zmysłowość stłumi w nas pierwiastek duchowy?

„Rozum i sumienie“, — zapewne są to rzeczy wspaniałe, ale one same, zanim się im powierzy kierownictwo człowiekiem, wymagają wyszkolenia, oczyszczenia, wyzwolenia i ustawicznego obcowania z wyższą mądrością. Uważny czytelnik Schopenhauera raz na zawsze pozbędzie się złudzeń i pojmie, jak bardzo nasze popędy, pragnienia i namiętności panują nad myślą w sprawie ludzkich zagadnień, oraz że posługiwanie się rzeczywistym rozumem jest udziałem tylko dusz wzniosłych, które osiągnęły najwyższy stopień doskonałości naturalnego człowieka!

Zgłębienie zasadniczych i etycznych kwestyi życiowych właśnie dlatego tak nadzwyczajnie jest trudne, że stoi w sprzeczności z instynktem samozachowawczym; w prawdziwej etyce tkwi zawsze podobieństwo do japońskiego „harakiri“ — jest ona śmiałym ciosem wymierzonym we własne ciało zmysłowego człowieka — i to w tym większym stopniu, im jest on konsekwentniejszy. Dlatego też tylko ludzie wybrani, którzy stanęli na najwyższym szczeblu pokonania samego siebie zdołają dotrzeć w tym kierunku do jądra prawdy. Albowiem najwyższa Prawda nie zjawia się nigdy w postaci pochlebcy dla zmysłowego człowieka, lecz zawsze w osobie anioła, podającego kielich ludzkiemu stworzeniu. Niepodobna jednak tego inaczej pojąć, jak tylko oddawszy się Bogu.

„Ten tylko zdobędzie Graala, kto jest przez niebo posłany i niebu oddał się w służbę“.

Obecnie cytują tylko ów wiersz Goethego: „Szanuj tylko rozum i wiedzę...“ a zapominają, co dalej powiedział, że człek mianuje to rozumem, czem posługuje się, aby być bardziej zwierzęcym, niż każde zwierzę“. To znaczy: zanim człowiek zdobył bardzo wysoki stopień panowania nad swojemi żądzami i namiętnościami — rozum jego jest to tylko Loparellem, który dla Don Juana stwarza sposobności do przygód. Doprawdy — starożytność, wymagająca od prawdziwego filozofa próbnego okresu życia ascetycznego, wkładająca na ucznia mądrości obowiązek ciężkich ślubów, zanim go uznano za godnego i uzdolnionego — starożytność, powtarzam, lepiej niż my, współcześni, wiedziała, jak wiele walnych zwycięstw nad zmysłowością, namiętnością i gnuśnością odnieść trzeba, aby módz myśleć i sądzić naprawdę niezależnie od własnych, subjektywnych warunków.

Panowanie rozumu w życiu nigdy nie zostanie osiągnięte przez uczynienie indywidualnego rozumu jednostki ostatnią instancyą w ustalaniu zasadniczego jej światopoglądu i kierunku życia. Utrwaliłoby to tylko samowładztwo instynktów i subjektywnych nastrojów. Panowanie rozumu będzie tylko tam, gdzie zawładną ci, którzy istotnie mają rozum, a więc tam, gdzie w zasadniczych kwestyach zagadnień życiowych uznaną zostanie wyższa świadomość tego, co jest istotnie świętem i mądrem. W królestwie rozumu zawładnią ci, którzy w swojem życiu na podstawie najwyższej łaski i dzięki żelaznej woli zdobyli obyczajową swobodę, bo w tej dziedzinie jedynie może być mowa o istotnem używaniu rozumu. Uznawał to Goethe: przy końcu

„Fausta“ odkupienie wszystkich upadków bohatera przewiduje mąż święty w słowach: „Tu jest swoboda, tu duch jest wzniesiony“.

To właśnie, a nic innego jest właściwie myślą przewodnią i podstawą zasady kościelnego autorytetu. Można mieć osobiste zapatrywania o granicach jego zastosowania, wolno go jednak zasadniczo dopiero wówczas odrzucić, jeżeli gruntownie rozstrzygnęło się pytanie, jak trzeba sobie wyobrazić właściwie konkretnie zasadę indywidualizmu i absolutnej wolności sądu?

Jedynie fakt, że starodawny religijny autorytet rzeczywiście jeszcze wywiera wpływ i wrażenie, był przeszkodą, iż owa zasada indywidualistyczna w większej mierze nie została urzeczywistnioną i nie znalazła zastosowania w życiu. Dlatego obrońcy tej zasady mogą skutecznie wykazywać pewne nadużycia i ciemne strony autorytetu kościelnego, które zresztą dla każdego są widoczne; z tej samej przyczyny niemogła być wykazana przez eksperymentalne doprowadzenie *ad absurdum* pewna cecha zasady indywidualizmu. A przecież, kto ma oczy ku widzeniu, ten je dziś już widzieć może zupełnie dobrze!

Nietsche pierwszy z heroiczną konsekwencyą wzywał przed trybunał indywidualnego rozumu całą treść tradycyi i odrzucał z niej wszystko, czego sędzia—rozum pojąć nie mógł: a pojął niewiele, tak, że dusza ludzka, która tam żyć pragnęła, zginęła w otaczających ją ciemnościach: Faethon, który słoneczny wóz najwyższego rozpoznania samodzielnie, śmiertelną dłonią chciał kierować, roztrzaskany runął na ziemię!

Nietsche słusznie czynił wyrzuty współczesnym, że nie stosowali do siebie wyznawanej zasady, że właśnie w rzeczach, które podstawowo określają, ich czyny i wpływają na uczucie — pozwalają niekrytycznie zawładnąć sobą tradycyi, że tylko w pewnych poszczególnych dziedzinach mają odwagę konsekwentnie kierować się własnym, indywidualnym sądem. Przykład Nietschego wiele umysłów natchnął odwagą: dzięki temu mamy teraz przedsmak duchowego, obyczajowego i religijnego chaosu, który jest wynikiem bezkrytycznego kultu indywidualnego rozumu t. j. indywidualnych żądz, popędów, interesów i ograniczeń, maskujących się filozoficznymi pozorami.

Proszę tylko przejrzeć literaturę, odnoszącą się do reformy etyki płciowej. Erotyczne fantazye lub płciowe potrzeby są świadomie czy nieświadomie brane jako jedyne źródło argumentacyi. Niepodobna doprawdy pojąć zaślepienia i zupełnej nieznajomości życia, widocznych w każdym niemal wierszu tych utworów—zwłaszcza, gdy autorowie ich są ludźmi częstokroć szlachetnie myślącymi i utalentowanymi. Objaw ten jest tem cenniejszy, iż poucza nas, jak wielkiej trzeba znajomości życia, duchowej i obyczajowej wolności, aby w dziedzinie tych zasadniczych zagadnień pozbyć się pewnych, najbardziej widocznych złudzeń i krótkowidztwa. To samo można powiedzieć o kwestyi ras. W tej dziedzinie tworzą się zadziwiająco naiwne teorye, które bynajmniej nie są wytworem rozumu, unoszącego się po nad wszelakiemi namiętnościami, jak duch Boży po nad wodami; są one raczej wypływem pierwotnych instynktów i egoizmów rasowych, które tak są ograniczone i przepojone wybujałem samolubstwem, że wykluczają wszelką myśl filozoficzną.

Rozprawia się nieraz o przyrodniczej teoryi poznania, a zapomina

się, że etyczne prawdy stawiają surowsze w tym kierunku warunki, niż przedmioty natury zewnętrznej.

Wiedział o tem Plato i dlatego w planie idealnego państwa dołożył wszelkich starań, aby filozofów, o ile możności, zabezpieczyć przed wpływami samolubstwa i płciowych namiętności.

Ukazanie się Chrystusa w pewnej mierze nadało realne kontury przewodniej myśli tych ideałów, mianowicie w tem znaczeniu, że najwyższa znajomość życia, oparta na zupełnem wyrzeczeniu się własnego „ja" oraz świata, podniesiona została do godności najwyższego autorytetu i natchnienia ludzkiej społeczności. Idea Platona w jednym kierunku została uzupełniona: osobistość Chrystusa przedstawia nietylko najwyższy i najczystszy sposób zapatrywania, ale jednocześnie najistotniejsze obcowanie z rzeczywistym życiem. W porównaniu z każdą inną nauką filozoficzną, która przemawia, z abstrakcyjnej wyżyny, wyższość chrześcijaństwa polega na tem, że sam Bóg przeszedł ból i szyderstwo, aby wydobyć niebiańską mądrość.

Nasi współcześni, którzy ze swym rozumem praktycznym wynoszą się nietylko wobec prawdziwie czy fałszywie pojmowanego Chrystusa ale nawet i ponad najwyższą mądrość i o niej sądy wydawać pragną, niech zawsze pamiętają te słowa, które Chrystus wyrzekł w odpowiedzi synom Zebedeusza, gdy tenże prosił, aby mógł zasiąść obok Zbawiciela w Królestwie niebieskiem. „A czy zdołacie wychylić kielich, który ja spełnić zamierzam?"

„Theologia Deutsch" wybornie uzasadniła najwyższy autorytet Chrystusa w owem miejscu, gdzie mówi o dwóch oczach Zbawiciela: jedno wpatrzone w wieczność drugie, przenikające nawskroś, całkowicie obejmujące istotne życie, podczas, gdy dla nas dostępną jest albo wyłącznie wieczność, albo wyłącznie życie doczesne. Żyjemy wśród ideałów i nie dostrzegamy realnego życia albo pogrążamy się w doczesności i tracimy z oczu prawdy wieczne.

Aż do tego punktu, mianowicie uznawania najwyższego autorytetu Chrystusa, wierzący protestanci i katolicy idą razem. Tutaj jednakże rozpoczynają się rozstajne drogi? Kto jest powołany do interpretowania tradycyi Jezusa Chrystusa? Kto powinien objaśniać Pismo Święte?

Zasada protestantyzmu z nieubłaganą konsekwencyą pozwala czynić to jednostce; katolicyzm podporządkowuje indywidualne komentowanie Pisma Świętego Kościołowi. Kościół zaś zakreśla granice indywidualnego pojmowania w całym szeregu twierdzeń, które istotę i znaczenie osobistości Jezusa Chrystusa w czasie i w wieczności wyrażają w symbolach. Jednocześnie Kościół utrzymuje, że jest ostatnią instancyą w pojmowaniu i wyjaśnianiu szczegółów tradycyi.

Powiedziano, że takie postawienie kwestyi przerywa indywidualne obcowanie z Chrystusem i że wogóle jest to przymusowe opiekowanie się religijnem sumieniem, niemożliwe do zniesienia dla człowieka inteligentnego.

Nie rozstrzygając na tem miejscu sporu wyznaniowego, w imię zasady „audiatur et altera pars" — podajemy to rozwadze czytelnika.

Wszystko, co dotychczas powiedziano przeciwko wierzeniom o indywidualnej zdolności sądzenia jednostki w rzeczach związanych z najgłębszemi zagadnieniami życia dotyczy również — a to w szczególnym stopniu —

także poniższej kwestyi, mianowicie ukrzyżowanie Chrystusa jest nietylko historyczną prawdą, ale jednocześnie symbolem prawdy życiowej, że najwyższa mądrość tak obca jest ludziom, iż oni ją zawsze i wszędzie gotowi są ukrzyżować i wyśmiać. Przecież uczniowie Chrystusa pogrążeni byli w głębokim śnie wówczas, gdy Mistrz ich dokonywał rzeczy największych i najgłębszych. I to także jest symbolem. Chrystus rzucony na szalę sądów indywidualnych, zostaje wyszydzony i do krzyża przybity a zwolennicy wypierają się Jego; będą wówczas pojedyńczy wyznawcy Chrystusa, ale kultura chrześcijańska nie da się w tych warunkach odbudować. Kultura chrześcijańska może tylko polegać na głębokiem poszanowaniu autorytetu, w żadnym razie na ufności w ogólne zrozumienie Chrystusa. Kto to pomija, ten — nie zna ludzi i nie rozumie znaczenia Krzyża Chrystusowego.

Jedynie stałe formy i interpretacye religijne, w które najwięksi następcy Chrystusa ujęli według najgłębszego wewnętrznego przeświadczenia istotę i myśl przewodnią Jego zjawienia się, mogą wytworzyć właściwy stosunek ludzi do potęgi i żywotności Chrystusowej nauki — mogą wychować ową moc, polegającą na pokornem podporządkowaniu się owej nauce, ową stałość wiary w jedną jedyną prawdę, która wyłącznie zdolną jest do rzucenia podstaw pod gmach chrześcijańskiej kultury. Co pozostanie z postaci Chrystusa, jeżeli odrzucimy tajemnicze misteryum o Synie Bożym? Chrystus stanie wówczas w jednym rzędzie z Kantem, Goethem i Schillerem, niebawem przez modernistów będzie uznany jako dająca się „prześcignąć" i „przestarzała" postać aż ostatecznie ta indywidualistyczna interpretacya dojdzie do wniosku, że Zbawiciel Świata wogóle nie istniał. Przez oddanie Chrystusa na pastwę indywidualnej interpretacyi pierwszego lepszego pastora — sponiewiera się i zbruka całą Jego powagę i wielkość, a pozostanie jedynie wschodni socyalny demokrata albo wyróżniający się etyk albo wreszcie wzruszający przyjaciel ludzkości. Chrystus, tak rozumiany nie ułatwia człowiekowi wyższego życia, nie wychowuje go w poszanowaniu i bojaźni wobec niezbadanych tajemnic duchowego świata, lecz staje się jedynie odzwierciadleniem tego, co jednostka w swojem ograniczonem pojęciu uważa jako ideał życia, nie zaś jako Ideał, zaczerpnięty z najgłębszych źródeł, przeznaczony do doskonalenia i pogłębienia jego własnej jaźni.

Indywidualizm religijny, przeciwstawiając się Rzymowi — wychodził z założenia, że pragnie ducha wyzwolić z formy. W tem ziemskiem jednakże życiu jedynie forma może być strażniczką ducha — ten, kto lekceważy formę, zatraca jednocześnie ducha. Im silniej ustalona forma podtrzymuje interpretacyę tajemnicy, podaną przez ludzi uduchowionych i stojących poza życiem — tem pewniej autorytet, mimo chwilowego, pozornego osłabienia wytwarza głęboką bogatą i wewnętrzną łączność z misteryum: — w miarę jednak, jak powyższa duchowa interpretacya zostanie zaniechaną, a miejsce jej zajmą interpretacye tysiąca jednostek nieuduchowionych i o ciasnych umysłach, coraz więcej zanikać będzie duchowość i coraz bardziej płytkiem i ubogiem stawać się będzie obcowanie jednostki z najwyższemi zagadnieniami. Jasno zdać sobie trzeba sprawę z tej sytuacyi, jeżeli pragniemy zrozumieć dlaczego Kościół upiera się przy twierdzeniu, że indywidualne badanie postaci Chrystusa podporządkowuje się

wyobrażeniom, jakie najznakomitsze i najgłębsze umysły wszystkich narodów jednomyślnie o Nim miały i w jakiem Go uczciły.

Takie podporządkowanie bynajmniej nie wyklucza samodzielnego poglądu i życia jednostki, zgodnego ze swoją indywidualnością — przeciwnie wzmacnia je i pogłębia. Intensywność poglądów i doświadczenia znakomitego artysty częstokroć pomaga nam do uwydatnienia naszych zapatrywań i doświadczeń, a nawet nadaje im jasność i kierunek, wysuwając na pierwszy plan rzeczy najgłówniejsze: — podobnie na obyczajowo-religijne życie i uświadomienie wpływają osobistości naprawdę wzniosłe i uświęcone. Chyląc pokornie i z zupełnem zaufaniem czoło przed ich wielkością, czyniąc im ofiarę z naszej skłonności do negacyi, wstępując w świat ich ducha — uczymy się patrzeć ich wzrokiem i powiększamy wartość naszej osobistości, czego brak będzie temu, kto zamyka się w ciasnych ramach indywidualizmu i nie daje przystępu wszystkiemu cokolwiek przewyższa jego chwilowe pojęcia i ograniczoną sferę myślenia.

Wskazać ludziom takie właśnie źródła poglądów jest tysiąckrotnie ważniejszą rzeczą, niż poddawać duchowe ich życie małostkowemu, niewolnemu rozumowi i bardzo ograniczonemu doświadczeniu. Kto sam z siebie wszystko sądzić, wszystko rozumieć pragnie i nie chce zwrócić się z zaufaniem do powagi wyższej mądrości, któraby mu niejedno wyjaśniła—ten pozostanie zawsze w niewoli i zatamuje rozwój swojego umysłu.

Tutaj należy kilka słów powiedzieć o związku, jaki zachodzi między uznawaniem jakiejś powagi a wolnością. Tak zwani wolnomyśliciele stawiają jako pewnik, że podporządkowanie się pewnemu autorytetowi nieda się pogodzić z rozwojem indywidualności.

Już poprzednio wykazano, dlaczego pogląd taki jest błędny i dlaczego właśnie do rozwoju własnego „ja“ niezbędnem jest uznanie wyższej mądrości i obcowanie z nią. Przecież chyba przypadkiem nazwać tego nie można, że właśnie w epoce panowania indywidualizmu wśród wielkich i na wysokim stopniu umysłowego rozwoju stojących osobistości tak mało jest istotnie zadowolonych. Współczesny umysł, prawdę powiedziawszy, nie może rozwijać się, nie może wznieść się ponad siebie, ponieważ pragnie zasadniczo uznać i wchłonąć to, co jest niczem innem, jak on sam—mianowicie to tylko, co jest przystępne dla niego. Wobec tego uznawanie i wierzenie w autorytet nie oznacza bynajmniej lekceważenia, czy odrzucania indywidualnego, duchowego życia. Posłuszne podporządkowanie się zwierzchniczej mądrości jest raczej niezbędnym aktem dla wyzwolenia się, które daje nam zdolność wyjścia poza kraniec naszego umysłu i pokornego, skupionego poddania się wpływom myśli dojrzalszych i wznioślejszych. Dlatego też mówi się słusznie: „Credo, ut intelligam,“ co oznacza pokorną pewność, że zamiast trwać w hardej zarozumiałości, ufać tylko sobie i swojemu rozumowi mam się czegoś nauczyć od wyższej mądrości — że wreszcie ta właśnie na szacunku oparta świadomość jest psychologicznym, niezbędnym warunkiem rzeczywistego rozwoju mojej istoty. Zasadniczo przeto fałszywem nazwać trzeba twierdzenie, że ten, kto wierzy w autorytet, jest bezmyślnym niewolnikiem—nie, owa pokora jest tylko środkiem do wytworze-

nia takiego stanu rzeczy, aby swobodnie widzieć i dobrze rozumieć; pokora ta jest też niewątpliwą pomocą do wytworzenia psychicznego stanu, w którym człowiek bardziej jest zdolny do objektywnego przyjmowania wiedzy.

Zresztą wbrew tym wszystkim, niezgodnym z życiem teoryjkom—człowiek sam wie najlepiej, jak mało może czerpać z własnego rozumu i doświadczenia. Wyzwolenie się z więzów wielkiego autorytetu, ujmującego w stałe dyrektywy znajomość życia i samokształcenie doprowadzić musi w końcu do tego, że człowiek zdaje się na łaskę i niełaskę autorytetów małych. To jest widowisko, którego jesteśmy teraz widzami; przypatrujemy się, jak Nietsche, Haeckel, Marz, Ellen Key, czy wreszcie świstek jakiś brukowy wobec narodu staje na tem miejscu, które kiedyś zajmował autorytet Kościoła. To nie jest zatem wybór między autorytetem, a swobodą; stanęliśmy natomiast na rozdrożu między wielkim autorytetem, opartym na zgodności mędrców, a bałwochwalstwem wobec chwilowych, modnych bożków, którym stawiane dziś ołtarze, jutro runą, których kult skazuje ludzi na ustawiczny niepokój i oszołomienie. Człowiek bowiem w głębi ducha przeczuwa bezsilność wszystkich tych surogatów i skrycie tęskni za pewnością wielkiej wiary, która wskazuje sile woli cel niezwodniczy, a duszy daje wiekuistą ojczyznę.

W bezpośrednim związku z kwestyą autorytetu stoi zagadnienie, dotyczące stosunku Kościoła do państwa. Właśnie w Niemczech – proszę tu rozważyć—odzywają się często niekatolicy: „musimy bronić państwo wobec Kościoła.“ Na tej podstawie wytworzyło się dość naiwne twierdzenie, że niekatolicy stanowią państwo, a przecież połowa niemal obywateli cesarstwa niemieckiego wyznaje religię katolicką. Katolik nie jest wrogiem państwa; on posiada tylko inne pojęcia o psychologicznych zasadach i duchowych podstawach państwa, niż obywatel niekatolickiego wyznania. Nie stoi tutaj Kościół przeciw państwu — ale psychologia państwowa zajmuje wobec innego rozwoju psychologii przeciwne stanowisko. Katolik miałby zupełne prawo tak rozumować: „Musimy państwo bronić przeciw waszym zamachom, nie macie bowiem pojęcia o psychologii państwa, o zarodkach pojęć państwowości, wrodzonych każdemu człowiekowi; na tych zaś pojęciach oparł się właśnie Kościół. On właśnie wyłonił z chaosu kulturalną pracę współczesnego państwa; on dał mu nazwę, moc i wielkość związkom społecznym, co w starożytności było niemożliwem właśnie dlatego, że starożytność nie brała pod uwagę sumienia jednostki. A przecież jednostka jest podwaliną państwa.

Wyjaśnienie powyższe wprowadza nas *in medias res* poruszonej kwestyi. Właśnie to, co czyni Kościół pozornie antyspołecznym czynnikiem i wywołuje konflikt z chwilowymi interesami państwa, owa koncentracya wpływów na duchową stronę człowieka, walka o wychowanie, utrzymanie i zabezpieczenie ludu—oto dzieło społeczne Kościoła, jego praca dla państwa. Są na to niezbite dowody.

Na czem polega wszelka wspólność państwowa? Oczywiście koniec końców na uzdolnieniu jednostki do społecznego działania. A na czem polega ta zdolność do społecznego działania? Oczywiście na sile pokonania samego siebie,

na głębokości umiłowania, na stałości i niewzruszoności owego osobistego sumienia, w którem mieszczą się i odzwierciadlają zasadnicze warunki wszelakiego społecznego życia. Człowiek, który ma być zdolnym we wszystkich drobnostkowych okolicznościach życia do pokonania w sobie nizkich i zwierzęcych instynktów—człowiek, który ma słuchać prawa uduchowionej miłości,—musi być tak wychowany, aby ukochał ponad wszystko owe wzniosłe prawa i ideały, wzrósł wraz z nimi, przejął się ich wielkością—i złożył im w ofierze wszelakie doczesne i światowe korzyści. Dlatego Chrystus mówi o rodzinie: „kto nie pójdzie za mną"..,

Słowa powyższe, pozornie rozluźniając rodzinę w rzeczywistości jednak one dopiero dały podwaliny najwyższej serdeczności i jedności w rodzinie, ponieważ tylko bezwględne oddanie się ideałowi uwalnia człowieka z więzów jego nizkiego „ja" i wyzwala wyższe jego siły tak, że teraz, panując zupełnie nad sobą, może przejęty prawdziwą miłością, żyć dla bliźnich. Tutaj można zastosować owe piękne słowa: I could not love dear so much—loved I not honor more!"

Ukochanie celów wzniosłych dopiero wtedy uwalnia od wszystkich nizkich, krępujących mnie namiętności, dopiero wtedy daje swobodę ruchu wszystkim drzemiącym we mnie wyższym siłom, które potem przynoszą korzyść ludzkości—jeżeli na ołtarzu tych wzniosłych celów wszystko gotów jestem złożyć w ofierze. A dalej: dopiero wówczas, gdy ugruntuję zwierzchnictwo sumienia tak silnie, że ono nie zachwieje się wobec państwa i jego niesłusznych wymagań—mogę mówić, że jednostkę przygotowałem do społecznego życia. Jakże niedołężną przedstawicielką prawa indywidualnego sumienia wobec państwa jest Antygona! A przecież jej protest przeciw Kreonowi zawiera w zarodku cały problem stosunku Kościoła do państwa. Antygona pozornie przekracza ustawy państwowe — i to nietylko w granicach religii, która wymaga czci dla brata, ale w granicach późniejszgo, prawnego państwa. Albowiem wymagania, stawiane tutaj przez religię, mianowicie trwałe, wewnętrzne obcowanie z poszczególnym człowiekiem, stanowią istotne podwaliny państwa, które jedynie na stałej, niezwyciężonej wzajemnej wierności obywateli oprzeć się może.

Otóż Kościół dokonał kulturalnego dzieła umocnienia indywidualnego sumienia jednostki wobec otaczającego ją środowiska i państwa. W języku społecznym, po odrzuceniu wszelkiej treści religijnej, ma to oznaczać, że podstawowe i najtrwalsze warunki każdej ludzkiej wspólnoty zostały dobitnie postawione wobec chwilowej i powierzchownej użyteczności i celowości.

Wspaniała postać Tomasza Morusa, który zginął na szafocie, aby dać świadectwo wierności wobec kościelno-religijnego pojmowania małżeństwa wobec zmysłowych i politycznych kaprysów króla, opromienia to kulturalne dzieło Kościoła jaśniej, niż wszystkie abstrakcyjne argumenty.

Wolnomyśliciel August Comte, stając na stanowisku socyologicznem, oddawał wielkie pochwały tej społecznej i politycznej robocie Kościoła. W sposób nader przekonywający wskazuje on konieczność istnienia obok państwa „duchowej potęgi", duchowo-obyczajowej organizacyi, którąby pielęgnowała psychologiczne podwaliny ludzkiej społeczności i broniła jej przeciw wszelkim zamachom chwilowej celowości i przeciw pożądaniom,

zwróconym ku materyalizmowi. Według Comte'a znaczenie emancypacyi świeckiej społeczności z pod władzy duchownego autorytetu w zakresie podstawowych kwestyi życiowych polega na tem, że indywidualne sumienie bezbronne i pozbawione oparcia na zwierzchniczej instytucyi zostało zdane na łaskę i niełaskę właściwych społeczeństwu i państwu sofizmatów, egoizmów, namiętności i ciasnego traktowania spraw wszelkiego rodzaju. Protestantyzm spotyka się z zarzutem, że właśnie z powodu braku na autorytecie opartej organizacyi nie posiada siły do ochrony istotnej treści indywidualnego sumienia wobec „realnej polityki“ świeckiego społeczeństwa. „Miękki i bezkształtny jak mgła poranna“ — mówi Comt'e — „protestantyzm zastosowuje się do wszelkich stosunków”. Chociażby się uczciło jaknajbardziej wysokie zalety protestanckiego ducha — to przecież niepodobna odmówić zupełnej słuszności i nie zastanowić się nad znaczeniem kościelnego autorytetu. Państwo jest „pożerającem wszystko ogniem“, który tylko wówczas zbyt szybko spala sumienia, jeżeli ich nie zabezpieczy się wysokiej wartości duchowemi prawami i pragnieniami ludzi. I kto jasno sobie zdaje z tego sprawę, ten nie będzie szerzył tanich frazesów o „ultra montes”. On pojmie łatwo, że człowiek, jeżeli jest świadomy społecznych wpływów i usiłowań a pragnie czynić to, co ludzkość w zupełnem niepokalaniu utrzymała—musi stać na stałym gruncie poza państwem; z gruntu tego, na którym pielęgnowane są wiekuiste dobra jego duszy, czerpie on siłę do bezwzględnego oporu przeciw wszystkiemu; co występuje w społecznem i politycznem życiu przeciw Chrystusowi, a więc przeciw podwalinom państwa.

Państwo—nawet demokratyczne — wobec jednostki popadnie zawsze w stan szaleństwa cezarów, jeżeli Chrystus nie będzie miał przystępu do duszy—Chrystus, nietylko uduchowiony, ale uosobiony w szanownej, grupującej do koła siebie ludy instytucyi, która strzeże jego zasad i która posiada taki urok i taką moc, że przedstawia symbolicznie pewną wyższość po nad państwowymi związkami i stwierdza ustawicznie istnienie duchowych interesów. Instytucya taka jest niezbędną dla przeciętnego śmiertelnika, który koniecznie potrzebuje zewnętrznych znaków jako środka pomocniczego i ostrzegawczego w celu ochrony swojej duszy, jeżeli nie ma być przytłoczony przykrym realizmem i wymaganiami życia.

W związku z zajętem tutaj stanowiskiem należy jeszcze pewien zarzut, stawiany wyznawcom Kościoła katolickiego, mianowicie, że nie jest niemieckim, że jest wiarołomny wobec germańskiej rasy, skoro sumieniem jego Rzym, a nie germańska świadomość rasowa. Odpowiedź prosta: źródłem, najobficiej zasilającem kulturę niemiecką był zawsze od dawien dawna Rzym. Bez tego źródła niepodobna sobie wyobrazić kultury niemieckiej; a przytem tylko słaba kultura zamiera wskutek obcych wpływów, które, przeciwnie, kulturę zdrową rozszerzają i pogłębiają. Obawa przed obcym wpływem oznacza zawsze, że siła narodowego charakteru zaczyna słabnąć. Im wydatniejszy jest ten narodowy charakter, tem silniej odczuwamy jego jednostronność, tem goręcej pożądamy uzupełnienia, a jednocześnie świadomości, że napływająca nowość przemieni się we właściwe życie. Okresy nadmiernej siły duchowej, po których następował rozkwit narodowych zdobyczy

na wszystkich polach, były wówczas, gdy Niemcy dawały przystęp romańskiej kulturze. Związek ten posiadał zawsze głębsze znaczenie: indywidualistyczny niemiec, pożąda zawsze kultury kształtów, która specyalnie stanowi tak ogromną siłę romańskiego ducha, a może wyrównać jednostronność nieokiełznanego, indywidualnego poczucia, wzmocnić wogóle i pogłębić wszystkie siły, skupiając je i kreśląc im pewne granice działania. Dlatego objawów czysto niemieckiego ducha, uzupełnionego rzymską formą i z nią ściśle złączonego szukać należy także w dziedzinie religijnej. Pomijając już fakt, że to, czego wierzący katolik w Rzymie szuka, bynajmniej jako rzymskie w znaczeniu rasowem i narodowem uważanem być nie może, lecz jest raczej chrześcijańską tradycyą, która pod władzą stałej formy, mającej moc autorytetu będzie najlepiej strzeżoną i najwierniej przechowaną, ponieważ pozostanie niezależną od zewnętrznych wybryków, wywołanych w danym razie zastosowaniem gwałtownych środków przez ów autorytet.

W związku z kwestyą znaczenia autorytetu stoi także zasada t. zw. bezstronności wiedzy. Najgwałtowniejsze napaści na katolickie korporacye uniwersyteckie łączono z oskarżaniem, że autorytet katolicyzmu jest narzędziem śmierci dla ducha wiedzy.

Jeżeli to jest prawdą — to jakim sposobem wyjaśnić można zjawisko, że modernizm rozszerzył się najbardziej właśnie w tych krajach, które przez długie wieki pozostawały pod wpływem katolickich instytucyi? Czem wyjaśnić fakt, że najdonioślejsze odkrycia były zawsze dziełem ludzi głęboko wierzących?

Właśnie głęboka sumienność i staranność pracy niezbędna przy dokładnych badaniach, drobiazgowość, brak wszelkiego egoizmu, ogromne umiłowanie prawdy, uwielbianie życia duchowego, a więc to, co stanowi psychologiczną podstawę naukowej kultury — wszystko jest wynikiem chrześcijańskiej religii, która początki w tym kierunku wszczęte przez starożytność doprowadziła do wysokiego stopnia rozwoju. Bacon z Verulamu powiedział: „Religia chrześcijańska jest korzeniem, który wiedzę chroni od zepsucia.“

W samej rzeczy wszystkie poważne wyniki naukowych badań, jak już Liebig z całym naciskiem zaznaczył, tak bardzo są zależne od moralnego uposażenia jednostki i podstaw całej kultury, że właśnie dlatego religia jest rzeczywistą przedstawicielką ducha wiedzy, chociażby nawet chwilowa dążność do zabezpieczenia i zachowania pewnych postulatów religijnych prowadziła do nadużyć i wykroczeń. Mężowie nauki pobierają jeszcze wychowanie, mające źródło w tych zasadach. Cała zresztą atmosfera naszej kultury i literatury wywiera na nich wpływ odpowiedni: Któż jednak nie widzi, że wzmagający się materyalizm zaczyna już wywierać wpływ na ruch naukowy? Historya wykaże, niestety, w sposób eksperymentalny, jak wiedza, pozbawiona pierwiastku chrześcijańskiego, musi skrzywić się i zwyrodnieć. Kościół nie potrzebuje wyczekiwać na te doświadczenia historyczne. Dzięki bowiem psychologicznej intuicyi zoryentował się już dawno w tym względzie. Dlatego Kościół wymaga od uczonych badaczy, zaliczających się do jego wyznawców, ścisłego poszanowania kościelnych postanowień w sprawach wia-

ry i obyczajów. Czyniąc to, pomaga do utrzymania psychologicznych założeń całokształtu naukowej kultury.

Po za tem istnieje zupełna swoboda — przynajmniej zasadniczo; — tutaj mamy do czynienia z zasadą, a nie z nadużyciami i błędami, przeciw którym w miarodajnych sferach katolickich rozpoczyna się poważne przeciwdziałanie. Kwestye wiary i obyczajów poddaje Kościół swojej najwyższej władzy nauczycielskiej bynajmniej nie w celu wykluczania naukowych badań, ale dlatego, aby dać wyraz odpowiedni temu faktowi, że wiedza tutaj znajduje całkiem ograniczone pole, a wchodzące w grę prawdy w nieznacznej tylko części mogą być ustalone przy pomocy metod jej właściwych.

W celu uniknięcia chaosu subjektywnych wskazań i usunięcia z pod dyskusyi pewnych zasadniczych prawd życiowych — Kościół opiera się na jednozgodnem doświadczeniu i obserwacyi wszystkich wielkich mędrców, którzy światłem Chrystusowem oświeceni wyraźnie stwierdzili pewne zasadnicze wyniki i dla nich wymaga absolutnego uznania. Zapewne wobec niektórych przyrodniczych badań, dotyczących istoty człowieka lub miejsca ziemi we wszechświecie — Kościół zachowywał się nieco nerwowo; jednakże nie można zaprzeczyć, że Kościół, według swojego mniemania zwalczając zbyt hałaśliwą propagandę, wskazywał na to, co powinno być istotą wiedzy, mianowicie jaknajwiększa ostrożność w badaniu! Niema w tem żadnej szkody, że Kościół rezultaty badań naukowych pozwala dopiero wówczas wcielić do ogólnego światopoglądu, gdy one zostaną uwolnione od niedokładności i jednostronności, niedostrzeżonych przez pierwszych wyznawców nowej idei, gdy wreszcie zostały wyrównane przez jednomyślną mądrość życiową następnych pokoleń. Ileż to niepokoju w sumieniach wywołały krzykliwie i zuchwale wysnuwane konsekwencye z biologicznych odkryć i teoryjek! Ileż to razy czyniono w nich poprawki i ograniczenia!

Zresztą podporządkowanie się owym przez Kościół wskazanym zasadniczym prawdom, które z prawdziwą mądrością nigdy sprzecznemi nie będą— przedstawia tę niemałą korzyść, że uwalnia uczonego badacza w dziedzinie wyłącznie ludzkiej od pewnych uprzedzeń, które dla honoru i wyników naukowego myślenia o wiele są niebezpieczniejsze, niż wszelkie dorywcze uchybienia Kościelnej cenzury. Do rzędu tych uprzedzeń należą wszystkie nieokiełznane popędy i namiętności, rasowe i klasowe przywileje, próżności, osobiste warunki, wynikające z temperamentu i zasobów życiowego doświadczenia, które krępują i na błędne drogi kierują rozmyślania o sprawach dotyczących życia i ludzkości. Czy np. p. Hudston Stewart Chamberlain jest „wolnym od uprzedzeń“ myślicielem? Czy wszystkie owe pisma o kwestyach społecznych, zabarwione tendencyjną obroną interesów pewnych klas, są opracowane bezstronnie? O teoryach, dotyczących reformy etyki seksualnej, powyżej wyraziliśmy nasze przekonanie.

Wszystkie przytoczone przykłady wykazują, jak ważną byłoby rzeczą, aby każdy badacz najważniejszych spraw ludzkości wzmocnił swój rozum szacunkiem wobec pewnych wyższych „założeń“, aby w czasie pracy nie krępowały go nizkie wpływy i ograniczenia, aby wreszcie nie znalazł się pod opieką niezbadanych i nieoczyszczonych z rozmaitych naleciałości, ten-

dencyi i uprzedzeń, które są wynikiem warunków i granic jego indywidualnej organizacyi.

Czy istotnie postęp polega na zachęcaniu jednostek do badania na nowo tego, co najgłębsze umysły już jednozgodnie ustaliły? Czy właściwie nie jest to zastój, ba! nawet cofanie się wstecz? Czy nowożytna literatura po większej części nie popada w starodawne błędy i ograniczenia? I jakąż korzyść ma ludzkość z tego błądzenia? Jakże więcej możnaby zbudować, uzupełnić, czy pogłębić, — gdyby prawdy już dawniej zbadane zechciano przyjąć z poszanowaniem, zastanowić się nad niemi i zastosować do współczesnego życia — gdyby natomiast zechciano się pozbyć pyszałkowatej zarozumiałości, występując przeciw wartościom i zapatrywaniom, uświęconym tradycyą nie zbadawszy krytycznie własnych metod poznania.

W końcu jeszcze słówko o szeregu dawnych i obecnych nadużyć Kościoła, które bywają przytaczane, gdy ktoś staje w obronie wzniosłych stron katolicyzmu.

Wskazując owe błędy i nadużycia zapomina się zbyt łatwo, że instytucya, obejmująca tyle milionów, dźwigać musi odpowiedniej wielkości brzemię „grzechu pierworodnego“. Skoro wśród dwunastu apostołów znalazł się jeden, który trzykrotnie zaparł się Chrystusa oraz inny, który go zdradził — to nikt od Kościoła niemożliwości żądać nie może. Średniowieczne zaś nadużycia i okrucieństwa przypisuje się niesłusznie chrześcijaństwu i Kościołowi zamiast kłaść na karb owych, nieokiełznanych wtedy właśnie przyjmujących wiarę chrześcijańską narodów, które dopiero w ciągu następnych wieków miały zrozumieć prawdy Kościoła. Średniowieczny Kościół nie stał ponad współczesnem życiem, bo jego przedstawicielami byli synowie zwyrodniałej i upadającej kultury lub ludzie, którzy niedawno jeszcze okrywali się niedźwiedziemi skórami i z maczugami w dłoni szli na pole walki. Zadziwiającą wszakże jest szybkość, z jaką Kościół w ciągu kilku wieków ucywilizował obce kulturze plemiona północnej Europy i wydobył z nich tak cudowne dzieła; dziś jeszcze patrzymy na nie z podziwem. Czy monistyczna etyka panów wolnomyślicieli w równym okresie zdoła osiągnąć podobne wyniki odrodzenia, wychowania, i poskromienia, czy może wskazać na podobny rozkwit artystyczny? Za wielki błąd przeto poczytać należy, gdy ktoś bez ceremonii z powodu pewnych niedomagań dzieła, wynikających z kruchości materyału przypisuje winę artyście i jego pędzlowi.

Jeszcze dziś istnieje sporo nadużyć, ale przy ich usuwaniu wykazano już wiele poważnych i dobrych chęci. Najbardziej pożałowania godnemi są nadużycia co do relikwii i legend; w tym zakresie znosi się wiele błędów, które są zbyt widoczne dla intellektualnej szczerości. Tutaj wiedza ma zupełną słuszność, zakładając protest, o ile chodzi o prawdę historyczną.

Ale nawet tutaj nie należy zbyt pohopnie postępować. Niejednokrotnie z mylnemi wyobrażeniami i historycznymi błędami łączą się cenne uczucia.— Wyjaśnienie zapatrywań, z któremi one wzrosły, wymaga łagodnego i pełnego miłości postępowania. Kościół nie może tych zapatrywań z dnia na dzień usunąć, jeżeli nie chce ich zabić.

Dlaczego zresztą wymaga się tyle poszanowania i względności dla

ciemnych stron i wybryków zasady wolności, potępiając jednocześnie bez psychologicznego usprawiedliwienia pewne niedokładności autorytetu?

Dobiegam do końca: Zapewne nie brak jeszcze wielu innych zarzutów, zwróconych przeciw kulturze, wytworzonej przez zasadę autorytetu w dziedzinie religijno-obyczajowej. Nie tutaj jednak miejsce do roztrząsania tych kwestyi. W ramach niniejszej rozprawki nie zamierzałem również zająć stronnego stanowiska. Wszystko, co powiedziano tutaj, było chęcią zastosowania się do zasady: „audiatur et altera pars."

Chciałem wykazać, że istnieją głębokie kulturalne problemy, nad których rozwiązaniem daremnie trudzi się socyologia i pedagogika, bo one ze stanowiska bezwzględnego indywidualizmu wyjaśnione być nie mogą.

Oby zapatrywania na tem miejscu wypowiedziane poskromiły nieco przykrą pewność siebie przeciwników autorytetu i stały się pobudką do „krytyki indywidualnego rozumu". Takie spojrzenie na samego siebie jest narodowym interesem każdej kultury. Sposób, w jaki obecnie występuje się ze stanowiska germańskiego przeciw Rzymowi jest stanowczo antynarodowym. Rzymscy katolicy bowiem nie są przecież jakąś obcą hordą, która zagraża granicom państwa — lecz obejmuje miliony współobywateli, których świętości powinniśmy szanować i rozumieć, których niewolno nam uważać poprostu jako „wewnętrznych nieprzyjaciół" chyba, że pragniemy wytworzyć szczerby w naszej kulturze i raz jeszcze wykazać, że germański indywidualizm nie jest zdolnym samoistnie wytworzyć i podtrzymać kultury.*)

Dr. Fr. W. Foerster.

„IDEAŁ A MY."

Gadanie.

Wiek młodości—wiek deklamacyi!—i rzeczywiście na tym Bożym świecie tak się wszystko dziwnie plecie, że póki krew prędko w żyłach krąży, póty i głowa goręcej marzy; póki serce żwawiej bije, pótyśmy szczęśliwi, pewni siebie, gotowi wszystkie kwestye: religijne, społeczne, narodowe, wszystkie zagadki świata rozcinać jednym zamachem aleksandrowego miecza; póty też lekkomyślnie szafujemy siłami, zapałem, bośmy zawsze pewni, że czego jak czego a energii, a fantazyi nigdy nam nie zbraknie.

Z czasem człowiek zaczyna przystosowywać się do warunków zewnętrz-

*) Autor w powyższej rozprawie miał na myśli studentów niemieckich, jednakże końcowe uwagi jego posiadają wartość ogólną, i z łatwością mogą być zastosowane do naszych stosunków (*Przypisek Red.*)

nych; gubimy po drodze złudzenia jedno po drugiem; potem uczymy się żyć, poznajemy ludzi—ostatnie różowe płatki opadają i wyschła, wyszarzana łodyga, dziwacznie wykrzywiona, tkwi do późnej jesieni obrósłszy mchem. Wśród samotnych dni bezbarwnych w monotonnem pogwizdywaniu jesiennego wiatru, zda się, błąkają echa młodocianych rojeń, snów, orlich lotów, wielkich słów, odgłosy walk kiedyś staczanych, jakichś prac i zamachów tytanicznych. Strach porywa przed tą beznadziejną pustką, przed tem bezwiednem upodleniem, głowę rozsadza myśl, że przecie to jest historya wielu, historya większości!

Gdyby to można było tak się sprządz z ideałami przewodnimi młodości, żeby już potem nigdy się z nimi nie rozstawać. Gdyby to tak można było ukochać ten sztandar ideałów i umiłować wszystkiemi tętnami duszy i przykuć doń swe jestestwo wieczystym łańcuchem, by nie odbiegało od celu, by nie błądziło po jałowych ugorach powszedniości życiowej, by raz wreszcie się skończyły męki serdeczne.

Sztandar naszych młodzieńczych wiar dumnie się nad nami trzepoce... Witaj nam znaku, ukochany znaku! Tyś tyle wieków widział! Idziesz hen z przezroczystej dali greckiej epopei, zabłysłeś kolorami tęczy pod ożywczymi promieniami krzyża Golgoty, zajaśniałeś nadziemskimi blaski i odtąd promieniejący Boską aureolą, idziesz przez wieki i przez długie wieki, przez ludzi stąpasz, wypadki i dzieje. Próżno cię wiatry szarpią i straszą burze — pył podróżny nie lgnie do twych stóp, boś wyższy nad huragany i chmury!

Daremnie raz po razie zakrywają cię przed nami wrogie tumany, po chwili znów płyniesz w przezroczach lazurów, jak dawniej wyniosły, Boski promienny... I tyle nawałnic przetrwałeś, tyle wichrów połamało o Cię swe skrzydła, a Ty, jak przed wiekami, witasz każdy nowy wschód radosnem trzepotaniem, ze drżeniem pytając: „zali nie tu koniec mych krwawych prób?“ Lecz w szalonej pogoni za zmorą szczęścia ludzkość mija wieki; z głuchym szelestem o nasz sterany, potem, krwią zlany glob uderzają niezmordowane fale czasu, rzeźbiąc jego powierzchnię w cudackie a wciąż nowe kształty—a Ty, zawiedziony, wielki, smutny smutkami wszystkich zawiedzionych, idziesz skąpany w łzach, czołem tonąc w różanych odblaskach nowych i nowych świtów. Znaku, nasz znaku, świetlany znaku, powiedz: może dojrzałeś lepszych dni zorzę, może przeczuwasz koniec tych walk syzyfowych, tych mąk Tantala, ciągłego bojowania, czuwania, zmagania się ze sobą, z życiem, z ludźmi, z losem!.. Pracy się nie boimy, przed trudem nie uchylimy czoła, ale Ty sam wiesz, żeśmy słabi, że lada mocniejsze przeciwne tchnienie, a skrzydła nam opadają. Ty sam wiesz najlepiej, żeśmy zapalni, jak sucha słoma, ale jak słoma też prędko się spalamy i zimni, ospali toniemy w nurtach i wirach obmierzłej rzeczywistości. Fala za falą zalewa nasze wiecznie tęskniące serca, zawsze szare, zawsze szkaradne swą arcynudną drobiazgowością, zawsze puste i czcze, jako cymbał brzmiący — życie — ten dar nad dary lecz i nudziarz nad nudziarzami.

Żyjemy w jakiejś cuchnącej atmosferze, gdzie bardziej niż kiedykolwiek daje się odczuć wiekuisty konflikt między czynem a ideą, w wieku, kiedy człowiek wszystkiemu i wszystkim może prędzej ufać, niż sobie. Psyche

każdego z nas po tylekroć na krzyżu doświadczeń przybijana, drżąca i rozradowana wysuwa się ku wyśnionemu jutru, wierząc, że ono niesie tajemniczą, świętą moc...

*

* *

... Człowiek bez ideałów, bez przekonań — to dopiero najsmutniejszy typ, musimy jednak przyznać, typ nadzwyczaj rozpowszechniony.

Nie widząc żadnego celu w życiu, żyjąc poto tylko, aby żyć jak najprzyjemniej, bez śladu przesuwa się przez pole życiowe, często nie mogąc zdobyć się nawet na ironię, bezmyślny, apatyczny drepce po ścieżce udeptanej „sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem. Goniąc za żywiołami drobniejszego płazu, to się wzbija, to w głąb wali,—nie lgnie do niego fala ani on do fali“. Zasuwając się wreszcie za grobową deskę, minę ma tak samo zdumioną, pytającą, jak i w zaraniu swych dni.

W dzieciństwie takie indywiduum marzy o cackach, w szkole, o piątkach, o dyplomach, potem o przytulnej, intratnej posadzie, o przystojnej żonie, o posłusznych dziatkach, w końcu daje im wychowanie na modłę swego i t. d. z pokolenia w pokolenie. Automat taki jest rozumny o tyle, o ile mu rozumu dać mogły szkolne podręczniki; moralność utożsamia z hygieną i pisanymi kodeksami; serce ma miękkie, łatwo rozczulające się własną niedolą; widok łez i krwi obraża jego estetyczne uczucie, więc lubi bawić się w filantropię; wolna zaś jego wola zaznacza się w ślepem posłuszeństwie losowi. — Smutna, nudna taka wegetacya często jemu samemu staje się ciężarem.

Jeśli przyjrzymy się społeczeństwu, to mnóstwo jednostek wypadnie zaliczyć do rejestru zwykłych zjadaczy chleba; i nas synowie nasi zaciągną do tegoż szeregu, jeśli teraz, kiedyśmy młodzi, kiedyśmy zdolni kochać i czuć gorąco, jeśli teraz nie odnajdziemy przewodniego ideału; bo potem już się nigdy z nim nie spotkamy, potem sfilistrzejemy, zgnuśniejemy i, zasklepieni w ciasnej skorupie domowych obowiązków, zaśniemy snem cichym, snem spokojnym, snem świetnie scharakteryzowanym przez Syrokomlę:

„Co z losem wieść boje!—przespałeś—to twoje!
niech cię sen skrzydełkami otuli,
źle wyszli na wojnie, śpij, bratku spokojnie,
 luli, niewiniątko, luli!

„Bo cóż ci do tego, że tam gdzieś łzy biegą,
że nędzarz w łachmanach się tuli,
od cudzej złej doli serduszko nie boli,
 luli, niewiniątko, luli!

„O pierwszej godzinie obiadek nie minie,
przed obiadkiem stukniemy wóduli.
i znowu na łoże twą główkę położę,
 luli, niewiniątko, luli!

„Ty marzysz, pieszczotko! patrzajcie, jak słodko,
widać śni, że kochanka go tuli.
Sza!... cicho!... broń Boże, obudzić się może!
luli, niewiniątko, luli!

Wiersz komentarzy nie potrzebuje.

Każdy z nas już przeżył setki niepowodzeń, niewątpliwie jednak do najbardziej głębokich ran należą pierwsze nasze rozczarowania, pierwsze zawody na drodze szukania ideału. I dziś, gdy nas łączy umiłowanie wspólne, gdy błąkanie się i borykanie w pogoni za ideałem, zda się należą do historyi, winniśmy sobie uprzytomnić, że ostrza samokrytyki nigdy nie mamy prawa z rąk wypuszczać, lecz zawsze obowiązani jesteśmy stać czujnie na straży czystości naszych przekonań, myśli, postępków, szczególniej, jeśli zważymy jak często, jak szalenie często czyny nasze rozmijają się ze słowami. Wytrwać zaś na obranej w młodości placówce pracy ideowej tembardziej trudno, że otacza nas morze egoizmu, że sybarytów i filistrów pełen świat, że wreszcie dopiero w mglistych zarysach majaczeje przed nami owo jutro wyśnione, przed wieki zapowiedziane. Więc chociaż zaledwie sercem wyczuwamy jutrzenkę świetlanej doby, chociaż już tyle razy zwodziły ludzkość oznaki zbliżania się dnia dniów, mimo wszystko, duszą całą toniemy w odblaskach dalekiej zorzy i rozwartym serca kielichem gotowiśmy światło upragnione pić, bosko marzyć, śnić i na tęczową marzeń nić sny złote wić.

W czarującej ekstazie ze szczytów górnych rojeń dumnie mierzyć powszedniości bruki, „w poetycznem zachwyceniu żyć po własnem wniebowzięciu“ w krainie wielkich słów, w bajecznym świecie symbolów i niejasnych przeczuć—bodaj, bodaj potrafi każda mierna dusza.

Ludzkość wymaga od swych synów nie wspaniałych dytyrambów, „nie pieśni jej potrzeba, lecz poświęceń, czynów, choćby cichych bez sławy, choć ukrytych w cieniu.—„Dość już długo, zbyt już długo brzmiał na strunach wieszczów żal, czas uderzyć w strunę drugą, w czynów stal!“—woła poeta. Czyn wiekopomny, pomnikowy czeka nas; nie jakiś wykrojony z heroiczno-genialnego eposu, lecz czyn-walka, czyn-praca; praca mrówcza, nieraz zmudna i uciążliwa, praca wieków; walka ze złem we wszystkich jego przejawach, walka bez błyskotliwych wyskoków chwilowej odwagi, walka uporczywa, zacięta, a w zapomnieniu i ciszy—to dopiero czynów czyn!

„Idź i czyń — uczy piewca ziemi, mogił i krzyżów — idź i czyń, choć serce twe wyschnie w piersiach twoich, choć zwątpisz o braci twojej, choćbyś miał o Bogu samym rozpaczać—czyń ciągle, bez wytchnienia...“ a pole rozległe, a pole zachwaszczone; chociażby wziąć pole pracy społecznej. W dawnym Rzymie tłum brudny, brzydki, pijany, zazdrośny, głupi, zapomniany ryczał: panem et circenses!—dziś niema Rzymu, został ten sam lud ciemny, przesądny, brudny, nienawidzący, zły, obłudny i tylko z zachrypłych gardzieli zwie się dziś okrzyk: chleba i oświaty!—i tak wszędzie. „Hej, siewacze, na wasz trud czeka ziemia, czeka lud!“ Bądźmy więc pewni, że pracy nam nie zbraknie—byleby tylko dobra wola była! bo kto jak kto, a Polak najwięcej ma do spełnienia. Nie wolno więc mu płakać i roztkliwiać się na

przeszłości cmentarzach—lecz czynić żelazny czyn! — Usuwać z przed oczu różowe okulary, zrywać sidła przesądów, iść wciąż naprzód, iść i zdobywać! ... „i choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich—choć zwątpisz o braci twojej—choćbyś o Bogu samym miał rozpaczać—czyń ciągle i bez wytchnienia, a przeżyjesz marnych, szczęśliwych i świetnych, a zmartwychwstaniesz!“

Andrzej Rondomański.

KORESPONDENCYE.

LOWANIUM.

W ostatnich dniach marca w uniwersyteckiej sali odczytowej wygłosił odczyt p. t. „Sztuka i odrodzenie Polski” (L'art et la renaissance de la Pologne) p. Józef Muls z Antwerpii. Wspomniawszy na wstępie o bezpośredniem zapoznaniu się z naszym krajem przez zwiedzenie różnych okolic, a przedewszystkiem Krakowa i Zakopanego, zwróciwszy uwagę na szczerą i głęboką pobożność ludu polskiego, skreślił następnie współczesną historyę Polski, od epoki rozbiorów poczynając.

Po tym obszernym wstępie informacyjnym przeszedł do rysu literatury polskiej, zatrzymując się dłużej na trójcy wieszczów: Mickiewiczu, Słowackim i Krasińskim, a wśród poetów ostatnich czasów pierwszeństwo przyznając Kasprowiczowi i Przybyszewskiemu (!)

Omawiając malarstwo polskie, obszerniej uwzględnił działalność Matejki i Grottgera ze starszych, a Tetmajera i Aksentowicza z młodszych. Zwłaszcza tego ostatniego obdarzył p. Muls swymi względami, widząc w nim wyraziciela odrodzonej sztuki malarskiej w Polsce.

Odczyt ten zyskał bardzo dobre przyjęcie wśród słuchaczów, a choć, jak widać z powyższego streszczenia, nie posiadał większej wartości, to jednak w tutejszych stosunkach miał bezwątpienia wielce dodatnie znaczenie, a jednocześnie wykazał, jakie pojęcie posiadają o nas cudzoziemcy—w tym razie belgijczycy.

Przed kilku miesiącami zostało w Louvain założone Stowarzyszenie studenckie pod nazwą: „*Polonia lovaniensis*“. Liczba stowarzyszonych polaków dochodzi do dwudziestu. Jednym z celów naszego stowarzyszenia jest udzielanie informacyi tym wszystkim kolegom, którzy mają zamiar udać się na studya za granicę.

St. Sz.

W uzupełnieniu powyższego listu otrzymaliśmy od innego korespondenta następujące wiadomości:

Dnia 10-go i 11-go maja prastara wszechnica lowańska obchodziła 75-o letni jubileusz, licząc od wznowienia działalności po rewolucyi belgijskiej.

Obchód wypadł bardzo uroczyście i nic dziwnego wobec zasług, jakie uniwersytet położył dla Belgii; wszechnica ta bowiem jest wielkiem życiodajnem źródłem wszechstronnego postępu katolickiego w Belgii dzisiejszej. Dzięki jej rozwojowi, kraj ten świeci jasnym przykładem niezrównanej pracy katolickiej na każdem polu. Dotąd wszechnica wydała liczny zastęp uczonych, mężów-stanu, ludzi ogromnej wiedzy i wysokiej cnoty; stworzyła szerokie ognisko życia umysłowego; swym blaskiem przyćmiła świetność innych wyższych uczelni belgijskich. Wszystkie też, jakie znamy, zakłady religijne, moralne i dobroczynne, niemal wszystkie instytucye ekonomiczne i społeczne, szkolne i pozaszkolne, prasa uczciwa, wiele zakładów naukowych i artystycznych, instytucye kolonialne, misyjne źródło swe mają w uczelni lowańskiej. Cała elita inteligentna katolicka Belgii współczesnej wykształcenie swe otrzymała w Lowanium. Jeżeli też Belgia od 25 lat zażywa dobrodziejstw mądrych rządów katolickich, to zawdzięczać je musi przedewszystkiem uniwersytetowi lowańskiemu.

I dla polaków uniwersytet lowański nie jest obcym. Oddawna wielu naszych rodaków przyjeżdżało tutaj na studya, a wśród wyższego duchowieństwa polskiego znajduje się sporo byłych wychowańców tej uczelni, jak np. J. E. ks. Arcybiskup Wincenty Chościak-Popiel, ks. regens dr. I. Radziszewski (autor doskonałej broszury informacyjnej o uniwersytecie lowańskim), ks. prał. A Jełowicki i inni. To też i w obchodzie wziął udział delegat polskiej wszechnicy a mianowicie dr. Wicherkiewicz z Krakowa, jako przedstawiciel Uniwersytetu Jagiellońskiego. Oczywiście, iż na jubileusz przysłały również delegatów prawie wszystkie uniwersytety Europy a nawet i z Ameryki, wyjątek stanowiło kilka uczelni (np. paryska), które świeciły nieobecnością, bo widocznie uważały, że im nie wypada brać udziału w uroczystości wszechnicy... katolickiej.

Na obchód przybyło również sporo dostojników Kościoła jak np. arcybiskup Westminsteru i J. Em. kardynał Mercier, znany szeroko uczony i pisarz filozoficzny.

W przeddzień właściwych uroczystości odbyło się otwarcie instytutu chemiczno-fizycznego, ofiarowanego uniwersytetowi przez księcia d'Arenberg, a następnie nastąpiło odsłonięcie pomnika prof. Juste Lipse'a, uczonego filologa z XVI-go wieku (ur. 1547—um. 1606). Potem urządzony został pochód różnych organizacyi studenckich miejscowych i zagranicznych ze sztandarami, których z górą 2000 przedefilowało przed pomnikiem. Temu olbrzymiemu pochodowi towarzyszyło około 300 orkiestr. Efekt był wspaniały.

Właściwy dzień jubileuszu rozpoczął się od pochodu z uniwersytetu do katedry, gdzie kardynał Mercier odśpiewał „Te Deum", poczem nastąpił również procesyonalny powrót do gmachu uniwersytetu, gdzie się odbyła wielka tak zwana akademia.

Pochód do katedry i z powrotem przedstawiał się niezmiernie malowniczo. Najprzód szło duchowieństwo w szatach pontyfikalnych z kardynałem Mercierem na czele, dalej postępowały korporacye studenckie ze sztandarami, później przedstawiciele uniwersytetów belgijskich i zagranicznych, ministrowie i wyżsi urzędnicy państwowi, wreszcie profesorowie i zaproszeni goście.

„Akademię" otworzył Nuncyusz Apostolski Mgr. Tacci odczytaniem breve Piusa X, następnie odczytano telegram gratulacyjny króla Leopolda, potem delegaci różnych uniwersytetów wręczali adresy uczelni, które ich wysłały, a po tym akcie zabrał głos rektor wszechnicy lowańskiej, kreśląc jej dzieje od chwili ufundowania w r. 1425 przez papieża Marcina V. Między innymi szczegółami wspomniał, że w chwili wznowienia to jest w roku 1834-ym uniwersytet liczył 90 studentów, a obecnie—około 2000.

W czasie „akademii" wielką mowę wygłosił kardynał Mercier, wyrażając pragnienie, aby uniwersytet katolicki w Lowanium pozostał zawsze dla Belgii i dla Kościoła źródłem postępu.

Po mowie kardynała odczytano listę świeżo mianowanych z powodu uroczystości doktorów honorowych uniwersytetu w Lowanium, a po akademii odbył się cały szereg bankietów.

L. S.

PRZEGLĄD CZASOPISM.

„GRYF" pismo poświęcone sprawom kaszubskim.

Wychodzi raz na miesiąc. Wydawca dr. Majkowski, Kościerzyna, drukiem H. Felbera, nast. Czyżewskiego w Gdańsku.

Z wszystkich kresów polskich największą wagę mają niewątpliwie Kaszuby, jako jedyna część Polski, dotykająca morza. Znaczenie ich uwydatnił najlepiej poeta kaszubski pisząc:

Niema Polšci bez Kaszebew,
A bez Kaszeb Polšci.

Niema w tem słowa przesady, skoro zważymy, jaką wartość ma morze dla rozwoju narodowego.

Tem bardziej zadziwia i oburza obojętność, z jaką dotychczas w szerokich kołach społeczeństwa odnoszono się do Kaszub; obojętność przypominająca zresztą wzgardliwe aż po ostatnie lata traktowanie spraw wielkopolskich w ogólności.

A jednak idea kaszubska, a z nią i polska, nie zamarły lecz coraz bardziej obejmują w posiadanie dusze Kaszubów. Jesteśmy świadkami wzrastającego uświadomiania się narodowego na Kaszubach; uświadomienie to jest polsko-kaszubskie. Rozdzielić od siebie tych dwóch pojęć faktycznie niepodobna.

Nie chodzi tutaj wcale o stanowisko naukowe wobec języka czy narzecza kaszubskiego. Jakiekolwiek ono, język nie mniej zbliżony do polskiego, a może i więcej, niż słowacki do czeskiego i przekładać z jednego na drugi nie potrzeba. Zresztą nie sam język sprawia różnice narodowe.

Tradycya i kultura wspólne od wieków Kaszubom i reszcie Polaków; działacze kaszubscy, to zarazem działacze polscy.

Wobec budzącego się zajęcia sprawami kaszubskiemi, wobec nagadania i napisania mnóstwa niedorzeczności w tej materyi, tembardziej podnieść należy działalność Kaszubów samych.

Jednym z jej wyrazów „*Gryf*“, miesięcznik polsko-kaszubski, wydawany przez znanego działacza d-r Majkowskiego. Mam przed sobą numer okazowy. We wstępnym artykule p. t. „Nasz program“ redakcya staje na jedynym możliwym realnie gruncie t. j. wspólności polsko-kaszubskiej. Jako zadanie pisma podaje: informowanie reszty Polaków o sprawach kaszubskich, zachowanie tradycyi miejscowych i rozwój ich w związku z kulturą polską, wreszcie sprawy społeczno-polityczne w szerokim zakresie; słowem ma obejmować całokształt życia kaszubskiego. Nie jest to zbyt wiele, jeżeli się weźmie pod uwagę, iż Kaszubów nie ma więcej nad ćwierć miliona i że stanowią mało zróżniczkowaną ludność małorolną i bezrolną.

W dalszym ciągu zeszyt zawiera *bajki kaszubskie*, dotychczas niedrukowane, odznaczające się szerokim humorem ludu z zachodniej Polski, nader charakterystycznym. Pisane po kaszubsku, ale zrozumieć można każdy wyraz, zresztą osobliwe redakcya wyjaśnia. Na 10 stronicach jest takich bajek pięć! Potem następują rzeczy w zwykłym języku literackim: „Chaty podcieniowe w Skorzewie”, bardzo interesujący przyczynek do historyi budownictwa ludowego. Zwracam na niego uwagę wszystkich, których obchodzą sprawy folkloru i stylu polskiego. Następują: powiastka o znamiennym napisie: „Nigde do zgube nie przyńdą Kaszube” oraz recenzye. Między niemi na uwagę zasługuje bardzo dobra recenzya broszurki p. Kościńskiego: „Idea słowiańska na Kaszubach”.

„*Gryf*” przedstawia się wogóle bardzo dobrze. Zwracamy nań uwagę czytelników. Cena kwartalnie półtorej marki.

Ks. K. J. Kantak.

Zatarg o Słowackiego.

Po różnych mniej lub więcej poetycznych projektach co do miejsca złożenia prochów Słowackiego ostatecznie w komitecie, zajmującym się tą sprawą, przeważył projekt, przemawiający za Wawelem.

Zamiarowi temu stanęła jednak na przeszkodzie stanowcza odmowa biskupa krakowskiego, księcia kardynała Puzyny.

Fakt ten wywołał wielką burzę w obozie bezwyznaniowym, a przykre uczucie niezadowolenia w szerszych kołach wierzących.

Ponieważ książę kardynał nie dał żadnych motywów swego postanowienia, a jednocześnie obóz bezwyznaniowy urządził formalną nagankę nie tylko już na kardynała Puzynę, ale wogóle na katolicyzm i religię, przeprowadzajac na całym szeregu wieców i zebrań rezolucye, domagające się sekularyzacyi podziemi Wawelu, więc pisma katolickie lub do katolicyzmu się przyznające zabrały głos w celu wyjaśnienia przypuszczalnych pobudek odmowy.

Pierwsza w Nr. 23-im wystąpiła „Rola“ z następującemi uwagami:

... „Wiadomo, że Słowacki umarł pojednany z Bogiem i Kościołem.

Obecny więc Dostojny Stróż królewskich grobów Wawelu sprzeciwia się umieszczeniu prochów wieszcza nie jako *książę* Kościoła lecz jako potomek potężnego rodu *kniaziów* Puzynów, inaczej mówiąc jako polak starej daty, rozmiłowany do fanatyzmu w purpurze królewskiej przeszłości Ojczyzny, według którego żaden z największych Królów Ducha nie powinien dzielić miejsca spoczynku z Królami Korony dziedzicznymi lub choćby elekcyjnymi. Jest to pogląd słuszny lub niesłuszny, ale bądź co bądź mający za sobą racye, które nie zasługują chyba na nieuczciwą zaciekłą nagankę, jaką wszczęto ze wszech stron. Gdyby na Wawelu nie spoczywał Mickiewicz i szło o przeniesienie tam jego prochów, ksiądz kardynał sprzeciwiłby się temu równie kategorycznie. Nie chodzi tu więc o osobę Słowackiego, ani o jego twórczość lecz o przesadną pewnie cześć dla dostojeństwa korony.“

Nie pozbawione pewnych cech prawdopodobieństwa domysły „Roli“ spotkały się z surowem zgromieniem ze strony „Wiary“.

„Trudno — mówi „Wiara”, — o wymowniejszy dowód panującego u nas obałamucenia pojęć. Oto pismo katolickie, w najlepszej niewątpliwie wierze, robi z Kardynała Puzyny jakiegoś średniowiecznego dynastę, przejętego przesadnym kultem idei monarchicznej, zapominającego o tem, że jest księciem Kościoła dlatego, bo jest kniaziem Puzyną. Ależ jako żywo! Mąż tak wysoce i tak wyłącznie kościelny, jak ks. Puzyna, wolałby zapewne uchwaloną mu przez radykalnych wiecowników „hańbę“ od takiej „obrony!“ Możemy „Rolę“ zapewnić, że nie był on nigdy przeciwny przeniesieniu zwłok Mickiewicza na Wawel, bo i nie mógł być, jako Polak gorącego serca i człowiek rozumny; owszem udziałem swym w pogrzebie dał istotnym swym uczuciom wyraz“.

W dalszym zaś ciągu „Wiara“ dodaje:

„Nigdzie na świecie, o ile wiemy, niema dwóch Panteonów: pierwszej i drugiej klasy. Skoro mamy już jeden na Skałce, dajmy w nim poczesne miejsce największym, ale nie wszczynajmy sporów nad ich prochami: czy to dla nich nie jest zamało. Po śmierci Matejki wołano dlań o miejsce na Wawelu, jako przedstawiciela polskiej sztuki; tego samego domagano się dla Chopina i w tych obu wypadkach było podstaw do tego żądania więcej, boć każdy z tych dwóch wyrażał inną gałąź twórczości; a jednak i wtedy przemogło zdanie przeciwne, a przemogło dlatego właśnie, że nie chciano robić wyłomu w zasadzie; otwierać podwoi późniejszym żądaniom i dyskusyom.”

Poglądy „Roli“ zarówno jak i „Wiary” zostały wyszydzone przez p. J. w „Słowie“ (Nr. 138) w artykule „Veto Kardynała”, gdzie autor usiłuje przekonać czytelnika, że odmowa nastąpiła z pobudek czysto kościelnych, a na poparcie swych wywodów powołuje się na jakieś „wyjaśnienie, opracowane przez kilkunastu księży galicyjskich, a zawierające cały wykaz dosłownych cytat z dzieł Słowackiego, w których to ustępach rozchodzi się Słowacki na wcale daleką metę z nauką Kościoła, a nawet wyraża się zgoła jak heretyk“.

Ciekawe jest stanowisko p. J., który, przyznając się do niekompetencyi

jednocześnie, jak widzimy, nie waha się na mocy bardzo a bardzo wątpliwej wartości domniemań przypisywać dostojnikowi Kościoła sądów i orzeczeń o podkładzie czysto religijno-kanonicznym. Jakież to charakterystyczne i jakie typowo nasze: p. J. jest katolikiem, ale sprawy katolickie niewiele go widać interesowały, gdyż nie czuje się w tym względzie kompetentnym, a właśnie dlatego, że nie jest kompetentny, więc feruje wyroki, jakby tych spraw był najbardziej świadom. U nas tak bywa zazwyczaj!

Hypoteza p. J. oburzyła „Dziennik powszechny" (Nr. 164), w którym znany poeta p Ignacy Baliński wypowiedział co następuje:

„Pobudki, które skłoniły księcia Kardynała Puzynę do niezgodzenia się na złożenie zwłok Słowackiego w grobowcach katedry, mogły być dwóch rodzajów: albo charakteru ogólnego, narodowego, ze względu na historyczne znaczenie Wawelu, albo czysto kościelnego. *Tertium non datur*, chyba, że nawet do tej sprawy wtrąciła się polityka.

Idąc za pierwszą hypotezą, z którą godzi się „Wiara", bardziej zbliżona do sfer duchownych, niż „Słowo", można przypuszczać, iż ks. Kardynał przychylił się do zdania pewnych kół mniejszości, tu i owdzie wypowiadanego i ogłaszanego w prasie, i uznał, że zasługi i znaczenie Słowackiego, bez względu na jego geniusz poetycki, nie posiadają tych cech, że tak powiem — historycznych, któreby uprawniały do złożenia jego prochów w grobach królewskich obok Mickiewicza, — bądź też, że, idąc za drugiem przypuszczeniem, wprost musiał postawić swe *veto*, z powodów — jak mówi p. J. — kościelno-teologicznych, co chyba ma znaczyć, że Słowacki był człowiekiem niewierzącym, złym katolikiem i wrogiem Kościoła."

... „Jakie p. J. posiada dowody — zapytuje dalej p. Ig. Baliński z powodu powoływania się „Słowa" na ową broszurę z cytatami — że to wyjaśnienie uzyskało, że się tak wyrażę, aprobatę księcia Kardynała, to jest że on na niem oparł swą opinię o niereligijności poety i dlatego musiał postawić swoje veto. Jest to okoliczność pierwszorzędnej wagi i należało ją sprawdzić, skoro p. J. z taką skwapliwością i z taką pewnością temu właśnie wyjaśnieniu i tym cytatom przypisuje wpływ decydujący.

Dopóki to nie jest stwierdzone, nie mamy prawa ani racyi dowodzić stanowczo, że taka była przyczyna odmowy Biskupa. Z udowodnianiem zaś i przekonywaniem o niereligijności i bezbożności Słowackiego, czy innego poety za pomocą oderwanych cytat należy polemizować w imię prawdy i słuszności, w imię tego, że nie można przecież sądzić o duszy pisarza z powyrywanych tu i owdzie strzępów utworów, lecz z całego ducha tych dzieł, z całokształtu działalności, wystąpień i czynów danego człowieka aż do jego śmierci."

„Zbiór kilku czy kilkunastu cytat, wyrwanych z olbrzymiej twórczości poety, bez względu na to, kto, w jakim duchu i w jakim celu go układał, nie jest jeszcze przekonywującym, ani tem bardziej obowiązującym dowodem niewiary Słowackiego.

Ja powołam się przeciw owym rzekomym wyjaśnieniom, skądkolwiek one pochodzą, na świadectwo bardziej miarodajne, bo ks. Arcybiskupa warszawskiego, Felińskiego, świadka ostatnich dni życia poety, i przyto-

czę tu w dosłownym odpisie list jego z 17 lipca 1883 r. do A. E. Odyńca, który w oryginale posiadam.“

Poczem pan Baliński przytacza wspomniany list, opisujący piękną, pogodną i prawdziwie chrześcijańską śmierć Słowackiego.

Stojący na uboczu od całej streszczonej powyżej polemiki kijowski „Głos Katolicki” wyraził pogląd zbliżony do zapatrywań „Roli“ w następujących słowach:

„Stojąc na stanowisku, powiedzielibyśmy krótko, że Kardynał Puzyna, jako Biskup krakowski, a zatem rzeczywisty gospodarz Katedry na Wawelu, miał do rozporządzenia się nią zupełne prawo i zastosował się do niego z całą bezstronnością, boć przecie Wawel jest wyłącznie *grobowcem Królów polskich*, a chociaż szereg tych ostatnich zdaje się być obecnie zamknięty lecz ponieważ wyroki Boskie są niezbadane, więc tembardziej powinniśmy przekazać przyszłym pokoleniom pomniki naszej przeszłości w takim stanie, w jakim one doszły do rąk naszych, — bośmy tylko chwilowymi ich stróżami. I gdyby nasi przodkowie chcieli się do tej zasady stosować, to nie potrzebowałby obecnie ten sam Kardynał Puzyna trudzić się nad szukaniem pierwotnego, prastarego Wawelu — w Wawelu dzisiejszym”.

Z głosów innych zaznaczyć wypadnie wystąpienie *Świata* (Nr. 26) w artykule p. t. „Sekularyzacya Wawelu“, w którym zatarg cały przedstawiono jako wynik rozbieżności między charakterem i poglądem kardynała Puzyny a współczesnem społeczeństwem polskiem.

„Jako książę Kościoła — powiada „Świat“ — jest ks. biskup Puzyna postacią o całe wieki spóźnioną. Brak wszelkiej uczuciowej struny, wprost fenomenalny charakter despotyczny i twardy, usposobienie zimne i wyniosłe, rysy te, spotykane u średniowiecznych prałatów-rycerzy, w naszych czasach wykopać musiały przepaść między biskupem i jego bliższem i dalszem otoczeniem.

Przechodząc dalej do rozpatrzenia poruszonej w prasie bezwyznaniowej i na różnych wiecach studenckich sprawy sekularyzacyi Wawelu, autor artykułu przytacza opinię ks. Stojałowskiego, że „w myśl obowiązujących ustaw państwowych i krajowych taka sekularyzacya kościołów parafialnych katolickich istnieje u nas (t. j. pod panowaniem austryackiem *przyp. Red.*) już dawno“, o tem więc, czy ktoś ma być pochowany w podziemiach jakiegokolwiek kościoła, rozstrzyga przedewszystkiem ze względów sanitarnych władza polityczna, a następnie komitet kościelny, w którym proboszcz — w tym razie biskup — posiada tylko jeden głos.”

Nie wiemy, o ile informacye ks. Stojałowskiego są dokładne, a choćby nawet były ścisłe, to i tak niewiele pomocne, bo przecież nie wiadomo, czyby władze polityczne i komitet kościelny nie stanęły po stronie księcia Puzyny, i wreszcie czyby było rzeczą rozsądną doprowadzanie zatargu aż tak daleko?...

Z inną podobnego rodzaju informacyą dał się słyszeć lwowski *Dziennik Polski*, umieszczając wyjaśnienia emerytowanego radcy namiestnictwa p. Tadeusza Dobrowolskiego, który sięgając w okres praw józefińskich, przypomina przepis z połowy XIX-go stulecia, według którego prawo pozwolić lub odmówić użycia grobów na umieszczenie zwłok Słowackiego na Wawelu

posiada jedynie krakowska kapitułu katedralna. Ta informacya również niewiele pomoże sprawie.

Jako przyczynek do całego zatargu przytaczamy jeszcze urywek z artykułu p. Włydysława Rabskiego w Nr. 175-ym *Kuryera Warszawskiego* p. t. „O prochy wieszcza“.

... „W chwili, gdy powstała myśl, aby prochy Juliusza sprowadzić do ziemi ojczystej, po całej Polsce szło ciche przeczucie, że dopóki żyje Puzyna, Wawel będzie zamknięty dla poety „Kordyana“, „Beniowskiego“ i „Króla Ducha“. A jednak gwałt zadano temu instynktowi, bo mniemano może, że znajdą się przecież jakieś wpływy wysokie, które złamią opór kardynała i że, mimo wszystko, wobec niezłomnej woli narodu. Puzyna nie odważy się wywołać szkodliwego dla interesów Kościoła zatargu między sobą a opinią polską.

Nadzieje te jednak zawiodły.

A teraz, czy bezwzględnie wszyscy w chwili obecnej pragną pochowania zwłok Słowackiego na Wawelu? Zdaje się, że pod tym względem takiej zupełnej jednomyślności niema, o czem świadczą choćby głosy p. T. G. w *Gońcu* (Nr. 292) i p. Jana Bełcikowskiego w *Głosie warszawskim* (181)

Oto pierwszy z nich powiada w artykule pod znaczącym tytułem: „Pietyzm czy profanacya“.

„Wrzawa, jaka powstała wskutek samowolnego kroku kardynała Puzyny... przeszkadza opinii naszej skupić uwagę na kwestyi daleko ważniejszej. Czy należy w czasie obecnym przenosić prochy Słowackiego do kraju i czy społeczeństwo polskie ma do tego dzisiaj moralne prawo?“

„Powrót Słowackiego musi być chwilą radosną, musi być symbolem jakiegoś tryumfu. Łącząc się ze swym wielkim synem, naród dokonywa uroczystej afirmacyi swego własnego istnienia, składa cześć sobie samemu. Czy może, czy powinien robić to dzisiaj? Gdzież powody do upojenia radosnego, gdzież racya do tryumfalnego samopotwierdzenia? Gdzież jest czyn zbiorowy lub choćby wzrost siły duchowej, który przestrzeń pomiędzy Słowackim a społeczeństwem zmniejsza, który w moralnym sensie pozwala mu powrócić?“

„W takiej atmosferze moralnej, jaka obecnie w społeczeństwie naszem panuje, prochów Słowackiego poruszać nie wolno. Niech spoczywają na cmentarzu paryskim, a może rozproszy się mrok, rozpostarty dzisiaj nad naszą zbiorową duszą, może przebudzi się ona i zatęskni do rzeczy wielkich wtedy przyjmiemy godnie tego, który był cały tęczą i płomieniem.“

W podobnym sensie, choć w innym tonie, przemawia pan Jan Bełcikowski:

„Chcą chować Słowackiego! Któż go to chce chować?!

Pokolenie renesansistów, akwariumistów, momusistów, chochlikowiczów, zielonych baloników chce cielskiem swojem zdławić Króla Ducha!...

Z „renesansu“ na Wawel! z „akwaryum“ na Wawel! z „Momusa“ na Wawel! co za honor, co za cześć!...”

... wy i Wawel!

„Na Boga zastanówcie się! Nad przerażającą blagi otchłanią zatrzymajcie się, póki czas!

I, jeżeli tej mocy Jego „fatalnej“ ani krzty w was niema, to miejcie chociaż kroplę wstydu i skromności Jego!“

„Dopóki On nie będzie władcą waszym rzeczywistym, dopóki nie złożycie przysięgi uroczystej na wierność duchowi Jego, dopóty królem On waszym wawelskim nie będzie.

„Do takich serc, do takich dusz dopiero On przyjdzie. Dziś nie czas na sprowadzenie zwłok Jego. Dziś pogrzeb Słowackiego byłby profanacyą, hańbą myśli i uczucia polskiego.“

Streściliśmy mniej więcej wszystkie ważniejsze opinie, co do sprawy złożenia Słowackiego na Wawelu, nie stawiając ze swej strony żadnej hypotezy co do motywów odmowy ze strony kardynała Puzyny, bo chociaż informacye, posiadane przez nas, pozwalałaby na postawienie jeszcze jednego przypuszczenia, nie przyczyniłoby się ono jednak do całkowitego rozświetlenia sprawy, jak jej nie rozjaśniają w dostatecznej mierze i wszystkie powyżej przytoczone hypotezy.

Wiele racyonalniej będzie chyba zamiast na chybił trafił zgadywać pobudki stanowiska kardynała Puzyny uczynić tak, jak zupełnie słusznie radzi ks. prał. Jan Gnatowski w Nr. 27-ym „Wiary“ to jest prosić i żądać wyjaśnienia, bo społeczeństwo ma prawo znać stan rzeczy, wiedzieć o motywach rozstrzygającego słowa i czynu.

A jeszcze jedno pamiętać należy. Jakkolwiek skończy się sprawa pochowania prochów Słowackiego, zatarg z tego powodu był jedynie nieporozumieniem między społeczeństwem i kardynałem Puzyną, a nigdy konfliktem narodu z Kościołem katolickim.

als.

List profesora W. Lutosławskiego.

Znany w szerokich kołach społeczeństwa polskiego profesor Wincenty Lutosławski, po dłuższym pobycie w ostatnich czasach w Anglii i Ameryce, osiadł obecnie w Warszawie, skąd od czasu do czasu robi wycieczki do miast prowincyonalnych, gdzie w odczytach stara się szerzyć swoje poglądy religijno-filozoficzne.

Jeden z takich odczytów w Wilnie stał się powodem wystąpienia ks. kan. K. Majewskiego przeciw prof. Lutosławskiemu na szpaltach *„Myśli Katolickiej”*, w szeregu numerów od 18 do 25 włącznie.

Z powodu tego wystąpienia prof. W. Lutosławski uczuł się zniewolony do ogłoszenia listu na łamach „Dziennika Powszechnego” (Nr. 173). List ten w naszych stosunkach ma ogólniejsze znaczenie i dlatego przytaczamy go w całości.

„Ilekroć człowiek świecki dobrej woli stanie w obronie Wiary i Kościoła, zachęca do udziału w Sakramentach, — wnet u niektórych zelantów budzi się podejrzenie, że to musi być nieczysta sprawa—że ów katolik jest niebezpiecznym herezyarchą.

Podpatrują go, jak się modli, jak przyjmuje Sakramenta, czy dosyć dużo czasu poświęca na akty po Komunii św. i niechże spostrzegą jakąś niezgodność jego postępowania z własnem wyobrażeniem lub obyczajem, to

już wznoszą stosy papierowe, aby go spalić, choć *in effigie*, i ogłosić za niewiernego, za hypokrytę, za obłąkanego.

Tacy *inkwizytorzy* nie zyskają nikogo dla Kościoła, lecz wiele osób słabszej wiary odstręczą. Przecież Kościół jest dla wszystkich wiernych, i świeccy mają nie mniejszy obowiązek bronić wiary, niż duchowni. Ci, co zalecają korzystanie z Sakramentów Kościoła i składają świadectwa o ich skuteczności, nie mogą być zarazem wrogami Kościoła w naszych czasach, kiedy przynależność do Kościoła ludziom świeckim, pracującym umysłowo na polu literatury, żadnej korzyści materyalnej, ani moralnej nie przynosi, natomiast wielce utrudnia zbyt produktów pióra.

Jeśli więc tych ludzi dobrej woli, dobrej wiary będziemy spotykali z podejrzeniem, to łatwo ich odstręczymy od Kościoła, o ile nie mają bardzo głębokiej, bardzo silnej wiary.

Kto sekty nie zakłada, zmiany obrządków nie żąda, zaś z istniejących obrządków i Sakramentów św. korzysta i innych do korzystania zachęca, ten do Kościoła należy i w nim ma udział, a jako członek Kościoła nie zasługuje na to, by go w imię Kościoła ktoś niepowołany od czci i wiary odsądzał.

Kościół ma swe własne upoważnione organa, by orzekać, czy jaki pogląd jest błędem, czy nie.

Ale potępienie poglądu nie jest jeszcze potępieniem osoby, wygłaszającej ów pogląd.

Każdy może się mylić, a ten co się najwięcej zastanawia nad zagadnieniami religijnemi, najwięcej może być narażony na to, że się pomyli.

Błąd jeszcze nie stanowi o wykluczeniu kogoś z Kościoła.

Dopiero gdy ktoś uparcie w błędzie trwa, wbrew orzeczeniom i ostrzeżeniom kościelnym, może być z Kościoła wykluczony.

Czytam ze zdziwieniem w „Myśli Katolickiej" i w „Polaku Katoliku" o mojej jakoby działalności religijnej w Wilnie!

Dowiaduję się, że ktoś mnie szpiegował podczas modlitwy w Ostrej Bramie, i spostrzegł, że nie zachowałem się, jak należy!

Nie sądziłem, żeby w Ostrej Bramie było miejsce dla gapiów lub szpiegów.

Sam nikogo tam nie obserwowałem, więc nie wyobrażałem sobie, by ktoś mnie podglądał.

Ale opisywanie, jak kto się modli, jak przyjmuje Sakramenta, wydaje mi się ubliżającem dla samych Sakramentów, szczególniej gdy się tyczy tak świętego miejsca, jak kaplica w Ostrej Bramie.

Bo przecie podpatrywać innych może tylko ten, co sam nie jest modlitwą zajęty.

Dziwny niesmak ogarnia, gdy się takie czyta dyskusye nad czyimś sposobem modlitwy.

A co do działalności religijnej w Wilnie—to stanowczo polega mniemanie o niej na plotkach.

Ksiądz Majewski zarzuca mi ośmieszanie religii i praktyk, ale nie wskazuje, w jaki sposób, kiedy i czem je ośmieszam;—zarzuca, żem mówił rzeczy, niezgodne z nauką Kościoła, lecz nie wymienia jakie?

Nauka Kościoła jest mi dobrze znana i wiem z całą pewnością, żem nic niezgodnego z tem, co Kościół naucza, nie powiedział.

Kto sądzi inaczej, niech nie puszcza w świat ogólnikowych plotek, ale jasno powie, jakie to zdania głosiłem niezgodne z nauką Kościoła i kiedy?

Ale niech ten życzliwy krytyk i bliźni nie postąpi, jak ci naprzykład, którzy cytowali pisma moje, wydane przed mojem nawróceniem się na łono Kościoła, by udowodnić, że po nawróceniu się nie byłem prawowiernym katolikiem.

Takie postępowanie jest nielogiczne, gdyż nawrócenie się jest zasadniczą zmianą w życiu i wykreśla wszystko, co przedtem było, jeśli nawrócony składa publiczne świadectwo prawdzie.

Więc o moich poglądach religijnych po nawróceniu może świadczyć tylko to, co po nawróceniu napisałem—szczególniej rozprawa o religii w życiu narodowem, wydana w „Przeglądzie Narodowym"—a napisana dla niewierzących, co przy ocenie jej należy koniecznie uwzględnić.

Stare prawdy nie przestają być prawdami, jeśli je wyrazić w nowy sposób. A chcąc pozyskać zaufanie ludzi, uprzedzonych do Kościoła, trzeba prawdy wiary odwieczne wyrażać w formułach naukowych, psychologicznych, im zrozumiałych.

O ile ktoś żyje w zaciszu życia prywatnego, to naturalnie i z doświadczeniami swemi religijnemi nie potrzebuje występować przed światem.

Lecz filozof, występujący jako publiczny nauczyciel filozofii, nie może zatrzymać dla siebie tego, co na polu religijnem doświadczył, szczególniej, gdy takie doświadczenie zmieniło jego pogląd na świat.

Nie jest to nikomu chyba przyjemnością występować publicznie ze spowiedzią, ale czasem bywa obowiązkiem, i dlatego czułem się obowiązany wobec licznych moich uczniów i słuchaczy usprawiedliwić i objaśnić zmianę moich przekonań, potępić dawne błędy.

Jeśli ktoś mniema, że dziś błędów uczę, to powinien jasno a życzliwie wykazać te błędy, lub podjąć się publicznej o nich dyskusyi, do której zawsze chętnie stanąć jestem gotów.

Tu nie chodzi bynajmniej o moją osobę, ale o bardzo liczne zastępy ludzi wykształconych, którzy powrócili do praktyk religijnych, na zasadzie tych wiadomości o istotnej nauce Kościoła, które odemnie otrzymali.

Wszyscy oni byli bardzo uprzedzeni do Kościoła wskutek mylnych mniemań o nauce i o historyi Kościoła.

Więc jeśli się dowiedzą, że niektórzy księża mają mnie za ignoranta lub sekciarza, to wraz z zaufaniem do mej prawowierności religijnej będzie zachwiane u tych neofitów zaufanie do samego Kościoła.

Nie każdy ma czas sam badać naukę i historyę Kościoła. A że wiele jest osób, które w tych rzeczach wolą bezstronną opinię świeckiego uczonego i filozofa, niż to, co słyszą od osób w ich mniemaniu interesowanych, na to złożyły się rozmaite okoliczności naszego życia w ciągu ostatnich pokoleń.

Wszak Kościół nigdy nie zakazywał osobom świeckim badać i zajmować się sprawami religii, poznać jego naukę i jego historyę!

Jeśli człowiek świecki i naukowo wszechstronnie wykształcony ma za-

ufanie ludzi świeckich, to przez to nie dzieje się krzywda Kościołowi, byle ten człowiek świecki nie miał pretensyi zastępować duchownych w tych funkcyach, które im są wyłącznie przez Kościół poruczone.

Pragnę służyć Kościołowi, pragnę przyczynić się do tego, by tracących wiarę rodaków dla Kościoła i wiary odzyskać. Ale wiem, że uczynić mogę to skutecznie tylko z pomocą duchowieństwa.

Kościołowi nikt służyć pożytecznie w żaden sposób nie może wbrew władzom Kościoła.

To też przed wykładami publicznymi na tematy religijne w Warszawie prosiłem o błogosławieństwo i wytykanie mi ewentualnych moich błędów ks. Arcybiskupa, który przyjął mnie z ojcowską życzliwością.

W Jego imieniu dotąd nikt mi żadnego błędu nie wytknął.

Nie jestem agitatorem ani polemistą. Jestem przedewszystkiem nauczycielem logiki i psychologii, które u nas, niestety, są tak mało uprawiane—jestem metafizykiem i zarazem społecznym działaczem w duchu filozofii polskiej, narodowej, która zawsze od swych głosicieli wymagała nie oderwanej od życia teoryi, lecz żywego czynu.

Na próżne polemiki w pismach czasu nie mam. Ale kwestya, czy moja działalność, która w każdym razie dosyć szerokie koła zatacza, jest dla Kościoła pożyteczną czy szkodliwą, ta kwestya jest tak ważną, że rad się poddam wszelkiemu uprawnionemu przez wyższą władzę kościelną duchownemu badaniu.

Jestem zupełnie pewnym, że z łatwością udowodnię, przy bliższem zbadaniu, że owe błędy, to są zdania, których nigdy nie wyrzekłem, a które mi tylko przez niechętnych przypisywane bywają.

Niechętnych zaś mam wielu, nie dla moich praktyk religijnych, lecz dlatego, że stawiam pewne wymagania moralne, żądam walki bezwzględnej z rozmaitymi nałogami.

Ponieważ z tego, nie można mi robić publicznych zarzutów, więc przeciwnicy abstynencyi szerzą cichaczem plotki o mej nieprawowierności religijnej, o mojem nieuctwie teologicznem, o mojej przesadnej i afektowanej nabożności!

Niechże wyjdą ci przeciwnicy z za płotu, niech mnie jawnie przed sądem duchownym oskarżą i dadzą okazyę się bronić, a zobaczymy, kto wygra sprawę! Wierzę w mądrość i sprawiedliwość Kościoła, i chętnie zawsze we wszystkiem wyrokom Kościoła się poddam, gdy we właściwej formie i przez właściwy trybunał jawnie sformułowane będą.

Wincenty Lutosławski.

Zwracamy uwagę na następujące artykuły: „*Przyczyna a powód*" przez dr. Stanisława Kobyłeckiego i „*Rys etyki społecznej*" przez dr. Kazimierza Lubeckiego w drugim zeszycie tegorocznym „*Przeglądu filozoficznego*".

„*Na czem polega dobra i owocna praca społeczna?*" przez d-ra ks. Zimmermanna w № 10-ym dwutygodnika „*Przebudzenie*".

SPRAWOZDANIA I KRYTYKI.

Księgarnie nakładowe i wydawców prosimy o przesyłanie egzemplarzy recenzyjnych swoich wydawnictw.

KS. ALEKSANDER MOHL: EWOLUCYA CZY TRWAŁOŚĆ GATUNKÓW. Poznań 1909, str. 75. Cena 30 kop. Wydawnictwo „Głosy na czasie“ Nr. 18.

„Nie nasza to rzecz rozstrzygać kto ma słuszność, zwolennicy stałości gatunków, czy też transformiści“ — mówi autor na wstępie swej broszurki, jednakże w dalszym ciągu dziełka występuje jako zdecydowany przeciwnik ewolucyi, rozstrzygając w ten sposób postawione w tytule pytanie.

Oprócz tej niekonsekwencyi w ogólnym planie broszury da się zauważyć jeszcze jeden błąd. Mówiąc o ewolucyi i o trwałości gatunków, należałoby powiedzieć coś o obydwóch teoryach, przytoczyć pro i contra obydwóch hypotez. Tymczasem argumenty ewolucyonistów, po bardzo pobieżnym ich przeglądzie, obdarza autor epitetami: „nonsens“, „uczona blaga“, „pokrywka głupoty“ i. t. d., a o argumentach przeciwko stałości gatunków ani słowa.

Pomimo bardzo szczegółowego rozbioru pojęć: ewolucya i darwinizm, nie uniknął autor nieporozumienia, i na 30 stronicach broszury zwalcza pod mianem ewolucyi „mechanizm“ (!) Bardzo szczegółowo dowodzi, że siły fizyko-chemiczne bez udziału Boga żywej materyi wytworzyć nie mogły; argumenty są zupełnie słuszne lecz jako skierowane przeciwko mechanizmowi, siłą rzeczy ewolucyi obalić nie mogą.

Sporą część swego dziełka poświęca autor również kwestyi pochodzenia człowieka od małpy. Ks. Mohl chce przeprowadzić zasadę, że człowiek ze światem zwierzęcym genetycznie nie jest związany. Na poparcie swej tezy przytacza wyjątki z dzieł rozmaitych uczonych, traktujących pochodzenie człowieka od małpy.

Stosowniej i ściślej byłoby, gdyby autor udowodnił zasadniczo, że człowiek w ogóle od jakiegokolwiek zwierzęcia pochodzić nie może. Pod tym względem stanowisko O. Wassmana, który szuka różnicy między człowiekiem, a światem zwierzęcym w dziedzinie życia psychicznego, jest o wiele właściwsze.

Argumentacya autora nie jest ani ścisła, ani przekonywująca.

Przytaczanie wyjątków, zawierających gotowe wnioski, z dzieł przeciwników ewolucyi, a staranne unikanie dowodów rzeczowych ewolucyonistów nie jest naukowe. Osobiste dowody autora mają jeszcze mniej siły. Jako przykład przytoczę słowa ks. Mohla za pomocą których udawadnia, że „walka o byt jest nonsensem“:

„Gdy osobnik jednego gatunku szuka zaspokojenia wymagań swej natury przez śmierć drugiego, to—tego walką nazwać nie można. Kiedy lew pożera antylopę, pożera ją bez walki. Kto i z kim miałby tu walczyć? Przecież broń do walki potrzebna u obu taka nie równa. Nie, lew bierze tylko to, co mu się należy; on tu panem, a antylopa sługą.“ (str. 33).

Broszurę cechuje dziwna pewność i kategoryczność autora w rozstrzy-

ganiu kwestyi, co do których uczeni bynajmniej nie doszli do porozumienia i o których nauka nie wypowiedziała ostatniego słowa.

Oprócz tego jest tam jeszcze spora doza zaciekłości, która sprawia, że dziełka nie można uważać za studyum przyrodnicze — lecz za broszurę agitacyjną.

Wymienione powyżej braki prawdopodobnie odstręczyć mogą wielu młodych czytelników od czytania katolickich wydawnictw naukowych w ogóle, rzucą ich w objęcia Haeckla, co będzie z rzeczywistą ich szkodą, i co nie jest także życzeniem autora. *zf.*

WIKTOR CATHREIN: DLACZEGO STAŁEM SIĘ ANARCHISTĄ? Obrazek z dzisiejszego życia studenckiego. Warszawa 1909 r. Nakładem księgarni M. Szczepkowskiego. Cena 50 kop.

Faktem jest aż nazbyt często, niestety, stwierdzanym, iż dla niejednego z młodych adeptów nauki, uniwersytet bywa źródłem wiedzy lecz zarazem grobem wiary religijnej. Czemu się tak dzieje? Zwalają niektórzy winę na profesorów ateuszów. Jest w tem wiele prawdy. Nieda się jednak zaprzeczyć, że trochę winy leży i po stronie młodzieży. Uniwersytet w wyobraźni przeciętnego młodego chłopca, kończącego szkołę średnią, nieprzyzwyczajonego do samodzielnego myślenia, znającego zbyt mało życie i ludzi — przedstawia się jako przybytek nauki, a nauka jego zdaniem, to jedyny czynnik rozwoju jednostki i społeczeństwa. Bądźmy tylko wykształceni, myśli on sobie, a staniemy się przez to mądrzy, moralni, zdrowi; rozszerzmy oświatę na masy, a usuniemy odrazu pijaństwo, rozpustę, nieposzanowanie cudzej własności oraz wszelkie inne rany i niedomagania społeczne. Nauka, jak sobie wyobraża, wie wszystko, rozwiązuje wszystko, o ile zaś na niektóre zagadnienia odpowiedzieć jeszcze nie może, to uczyni to niezawodnie w najbliższej przyszłości. Na profesorów początkująca młodzież uniwersytecka patrzy również cokolwiek za idealnie. Są to jej zdaniem ludzie zawsze objektywni, (wyjątki czynią się zwykle dla profesorów znanych z przekonań religijnych) podający zawsze ostatnie wyniki wiedzy, znający się na wszystkim, którym, dla ich powagi wierzyć należy, chociażby mówili o rzeczach, mających luźny związek z ich specyalnością.

Przy większej cokolwiek dozie wykształcenia młodzież zdawałaby sobie jasno sprawę, że wyrobienie umysłu tylko w parze z wyrobieniem serca i woli rzeczywistą korzyść przynieść może. Należy więc naukę uznać za jeden z czynników rozwoju jednostki, czy społeczeństwa, ale bynajmniej nie za czynnik jedyny. Dalej, wszechstronniejsze zgłębienie nauki przekonałoby wielu, że ta ostatnia, jako zamknięta w sferze zjawisk, nie może wyjaśnić wszystkich zagadek życiowych, wobec czego nie należy lekceważyć wierzeń religijnych, stanowiących najważniejszą część składową każdego światopoglądu. Nareszcie większa znajomość życia i ludzi pozwoliłaby młodym studentom zdawać sobie jasno sprawę z okoliczności, że profesorowie, często wielcy uczeni, pozostają zawsze ludźmi, mają więc swoje uprzedzenia, słabostki, namiętności. Niektórzy z ich grona, przemawiający ogólnie w imię nauki są rzecznikami jedynie jednego z kierunków danej nauki, może właśnie jak naj-

mniej uzasadnionego. Inni znowu, wydający opinię o religii, nie posiadają wykształcenia religijno-filozoficznego. Nie przeszkadza to bynajmniej do sławy na polu fizyologii czy chemii, nadaje jednak sądom ich o religii wartość nader problematyczną.

O tem wszystkiem wiedziałaby młodzież, gdyby miała większe wyrobienie umysłowe, o tem wszystkiem nie wie, czy nie pamięta, wyrobienia bowiem takiego z wielu przyczyn nie posiada, rezultatem zaś podobnego stanu rzeczy jest wielka ilość bezwyznaniowców, których uczyniła takimi nauka uniwersytecka. Odtworzeniu podobnego procesu psychologicznego została poświęcona książeczka Cathreina. Młody, zdolny i religijny chłopiec pełen chęci do pracy i wiary w bezwzględny objektywizm nauki uniwersyteckiej, ukończywszy szkołę średnią zapisuje się na fakultet filozoficzny uniwersytetu berlińskiego. Nie znający życia, wychowany w atmosferze religijnej małego miasteczka, nie wyobraża sobie, aby chrześcijański rząd w chrześcijańskiem państwie obsadzał katedry profesorami bezwyznaniowymi. Rzeczywistość wkrótce przekonywa go, że tak jest. Począwszy od pierwszych dni wykładów, od najsławniejszych profesorów słyszy, że pojęcie Boga i nieśmiertelność duszy to złudzenie, że ewangelie to poematy historyczne, że prawdziwa moralność nie ma nic wspólnego z religią itp. Na razie sądy podobne dziwią i niepokoją Alfreda (tak bowiem zwał się nasz bohater). Pragnąc gmach swych wierzeń ratować, zabiera się gorliwie do lektury książek, traktujących o kwestyach religijnych, oraz udaje się po radę do kolegów. Zawiodło jedno i drugie. Studya — ponieważ prowadzone były bez planu i metody; koledzy — ponieważ, uważając zajmowanie się kwestyami religijnemi za przesąd, polecili mu jako antydotum przeciwko smutkom stare ale cieszące się zawsze uznaniem hasło „carpe diem“.

Nareszcie po długich i bezpłodnych usiłowaniach pogodzenia nauki z religią, przyszedł Alfred do przekonania, że najodpowiedniejszem i najbardziej naukowem stanowiskiem w kwestyach istnienia Boga i nieśmiertelności duszy jest stanowisko agnostyczne. Może i Bóg jest, ale nauka, a więc i ja nic o tem nie wiem. Wkrótce jednak w rozmowie z jednym z profesorów, stanowisko agnostyczne uznał za niekonsekwentne: jeżeli bowiem Bóg człowieka stworzył, to trzeba przypuścić, że umożliwił mu i ułatwił poznanie siebie. Przypuszczenie przeciwne, że Bóg człowieka stworzył, poczem losami jego zupełnie się nie zajmował, pozostając dla niego nieznanym, jest daleko niekonsekwentniejsze i mniej prawdopodobne. Tak więc stanowisko „ignoramus“ na nic,—pozostało jedynie uznać, że Boga niema. Że jednak wtedy życie ludzkie w innym przedstawia się świetle, nie jedno pojęcie pełne treści dla teisty staje się dla ateisty pustym dźwiękiem jedynie, więc też i nasz Alfred zabrał się gorliwie do przewartościowania wszystkich dotychczasowych poglądów i zapatrywań. Usłyszawszy przypadkiem na jednym z zebrań mowę Bebla, uderzony był szczerością i konsekwencyą, z jaką ten ostatni przystosowywał swe pojęcia społeczne do pojęć religijno filozoficznych. To zniewoliło go do wstąpienia w szeregi socyalistyczne, o których jednak wkrótce nabrał mniej korzystnego wyobrażenia.

Jak mówiliśmy, zachęciła go do socyalistów ich konsekwencya i szczerość, z jaką wcielali w życie swe poglądy ateistyczne. Przekonał się jednak,

że harmonii między ich czynami, a teoryami niema. Tak np. Bebel na jednym z zebrań zapewniał uroczyście słuchaczy, że socyaliści walczą przeciw wszelkiej władzy zarówno niebieskiej, jak i ziemskiej. Powiedzenie takie wydało się Alfredowi nadzwyczaj logicznem, bo i rzeczywiście, odrzuciwszy Boga, odrzucić należy wszelką władzę. Socyaliści jednak, odrzucając Boga byli zwolennikami silnej władzy, jak w istniejących swych organizacyach, tak i w przyszłem państwie. Czyż to nie jest niekonsekwencya?! pomyślał Alfred. Po wyjaśnieniu tej zagadki udaje się on do jednego ze swych profesorów. Profesor ów długo i szeroko tłómaczy mu, iż między uznaniem istnienia Boga i władzy, niema żadnego związku, źródłem bowiem wszelkiego prawa, a więc i władzy jest państwo. Alfred jednak na tak postawioną kwestyę nie zgodził się i w dalszej rozmowie wykazał profesorowi całą płytkość jego teoryi. (Dysputa, o której mówimy, należy do jednej z najciekawszych w książce). Rozmowa z profesorem zachwiała poważnie wiarę Alfreda w szczerość i konsekwencye socyalistów. Późniejsze doświadczenia i przykrości pierwsze wrażenie potwierdziły, wskutek czego Alfred opuszcza partyę i wiąże się ściśle z grupą anarchistów. Jednak subtelna i szlachetna natura jego nie mogła znieść długo atmosfery zabójstw, bomb i krwi.

Zaprotestowawszy na jednem z zebrań przeciwko krwawemu programowi anarchistów, naraził się na pojedynek, poczem ciężko ranny został oddany na kuracyę do któregoś ze szpitali berlińskich, znajdującego się pod opieką Sióstr miłosierdzia.

Tu kończy się pierwsza część książki — zaczyna druga. Po upadku następuje odrodzenie.

Doświadczenie życiowe, zapoznanie się z konsekwencyami, do których doprowadza ateizm, zbliżenie się do sfer, przepojonych miłością chrześcijańską, a nadewszysko rozmowy z wykształconym rektorem szpitala, w których poruszano najważniejsze wątpliwości Alfreda, wszystko to podziałało na chorego kojąco i uzdrowiło go moralnie i fizycznie. Wkrótce wraca on do ideałów, które dzieciństwu jego przyświecały, a które przez pewien czas uważał za stracone na zawsze.

Tyle o treści książki. Teraz o jej wartości. Samo nazwisko autora usposabia nas ku książce dobrze. Cathrein to uczony etyk i ekonomista, znany już u nas z dzieł, przełożonych na język polski. Zapoznanie się z książką, o której mówimy, powziętą o niej z góry dobrą opinię potwierdza.

Porusza ona tematy aktualne, argumentuje silnie. Trudniejsze ustępy dyskusyi ilustruje autor przykładami, zaczerpniętymi z życia codziennego (niekiedy może zbyt banalnymi), co ułatwia niezmiernie młodszym czytelnikom ocenę siły dowodów. Świetne są szczególnie rozmowy Alfreda z bezwyznaniowymi prefesorami.

Jednak obok zalet książka posiada wadę.

Autorzy, piszący w formie dyalogu, pragnący przytem przeprowadzić pewną tezę wbrew argumentem niektórych uczestników dyalogu, ułatwiają sobie zadanie w taki sposób, że osoby przemawiające w ich imieniu mówią bardzo mądrze podczas, gdy przeciwnicy używają argumentów słabych. Oczywiście, przy takiem postawieniu kwestyi, oponenci w końcu książki

oświadczają niechybnie, że są zupełnie przekonani, poczem pozostaje już im tylko kapitulacya na całej linii. Zdaje się, że wady tej nie uniknął Cathrein.

Ten Alfred, chłopiec z natury inteligentny, słuchający takich uczonych jak Lasson, Giżycki, Paulsen, zatopiony w Kancie, Fichtem, Heglu i dojrzały umysłowo do tego stopnia, że przemawia na publicznych wiecach, ba! zręcznie zbija nawet w dysputach własnych swych profesorów (spór o władzę i inne) — ten Alfred mięknie jak wosk w rozmowie z rektorem. Zamiast argumentów stawia jedynie nieśmiałe, często źle umotywowane pytania. Wystarcza parę bardzo elementarnych dowodów ze strony rektora, aby wywołać z ust Alfreda kategoryczne zdanie: „panteizm jest głupi“ wbrew dotychczasowym jego poglądom. Dowiedziawszy się, że z cudów przyrody można wnosić o nieskończenie potężnym Twórcy, twierdzi on, iż zdanie to otwiera przed nim nowe horyzonty (o czem też mówiono mu w szkole średniej na lekcyach religii?) Przytem ów agitator socyalistyczny, staje się nienaturalnie, jak na studenta, sentymentalny. Rozczula go np. do łez wiadomość, że chociaż grzech jest okropny, to jednak daje on okazyę do wspaniałych nawróceń grzeszników; płacze również na wspomnienie domu rodzicielskiego, od którego oddalony jest o kilka godzin drogi i do którego wkrótce ma powrócić.

Może takiego Alfreda w życiu spotkać można. Nieda się jednak zaprzeczyć, że ogólnie biorąc, nie jest on typem przeciętnego studenta naszych czasów, a i procesy duchowe, jakie przechodzi, w rzeczywistości odbywają się chyba mniej gładko.

Okoliczność ta odbiera książce charakter „obrazka z dzisiejszego życia studenckiego ,“ a nadaje jej piętno traktatu moralizatorskiego, pisanego ad usum Delphini.

Powyższa wada nie zmniejsza bynajmniej zalet książki i dlatego polecić ją można, a nawet trzeba.

Studiosus.

Książki nadesłane do Redakcyi.

Wincenty Lutosławski: Darwin i Słowacki, według pierwszego wykładu, wygłoszonego w Filharmonii Warszawskiej d. 23 listopada 1908 r. Warszawa. Gebethner Wolf 1909, str. 25. Cena 30 kop.

G. D'Azambuja: Szczęście doczesne. Krótka teorya szczęścia. Przełożył z francuskiego Henryk Romanowski. Wydawnictwo księgarni „Kronika Rodzinna“ 1909. Warszawa. Krakowskie Przedmieście 20. str. 56. Cena 15 kop.

Katalog wydawnictw drukarni i księgarni św. Wojciecha (pod zarządem X. P. Wawrzyniaka, patrona Spółek) służących do pracy społecznej. Poznań .1909, str. 48.

Dr. Ludwik Posadzy: O posłannictwie narodów europejskich. Pomysły do filozofii dziejów Francyi, Niemiec i Polski. Inowrocław. 1909. Drukiem „Dziennika Kujawskiego.“

Stefan Dziewulski: Statystyka ludności gubernii lubelskiej i siedleckiej wobec projektu utworzenia guberni chełmskiej. Wydane staraniem redakcyi „Eko-

nomisty". Skład główny w księgarni E. Wende i S-ki (Ł. Hiż i A. Turkuł) Warszawa 1909 str. 37 i mapa.

Bóg przed sądem świata wobec gruzów Messyny napisał *Philan thropos.* Płock 1909. Nakład i druk K. Miecznikowskiego. Str. 59. Cena 30 kop.

Z MIESIĄCA.

Pro domo sua.

Ukazanie się pierwszych numerów naszego pisma zostało przychylnie przyjęte przez większość prasy polskiej, a to dobre przyjęcie tem nam było milsze, iż nie ograniczyło się do zdawkowych frazesów ale, razem z zachętą do dalszej pracy w obranym kierunku, wytknięto nam różne braki, uczyniono życzliwe uwagi.

Co słuszne, przyjęliśmy jaknajchętniej do wiadomości, ale nie na wszystkie uwagi naszych krytyków możemy się zgodzić.

Między innemi powiedziano nam, iż jak na młodych jesteśmy nazbyt spokojni—

i jak na młodych jesteśmy nazbyt zarozumiali,—

a nadomiar zarzucono nam nadmiar frazeologii i operowanie ogólnikami.

Występując z pierwszym numerem, odrazu byliśmy przygotowani na powyższe zarzuty, przewidywaliśmy je, a jednak nie wpłynęło to na zmianę naszego stanowiska, bo stanęliśmy na niem z całą świadomością.

Wystąpiliśmy spokojnie, bo przed nami taki ogrom pracy, że marnowanie energii na krzykliwe manifestowanie byłoby stratą bezpłodną, a nam daremnie sił tracić nie wolno.

Wystąpiliśmy z męzką pewnością siebie, jak ci, którzy wierzą i wiedzą, iż posiadają Prawdę i innym do tej Prawdy mogą wskazać drogę.

Wystąpiliśmy z zarysem tego, co chcemy zrobić, wyjaśnić, rozbudzić, rozumiejąc, że bliższe szczegóły naszych planów i zamiarów możemy tylko z czasem przedstawić, co zresztą wyraźnie na wstępie zaznaczyliśmy.

Rozumiemy doskonale, iż program nasz, nie jest czemś najzupełniej nowem w świecie, sami bowiem widzimy, że praca, podobna do zamierzonej przez nas, istnieje od dziesiątka lat zagranicą, więc nowością jest to tylko, iż hasło pracy wewnętrznej nad sobą i zewnętrznej dla społeczeństwa, pracy, opartej na wiecznych zasadach chrystyanizmu, podnosimy, my młodzi, w naszych stosunkach polskich.

Przecież każdy bezstronny obserwator przyzna, iż do niedawna u nas wprost nie spotykało się wśród młodzieży jednostek, któreby się jawnie do katolicyzmu przyznawały, a gdy się gdzie zdarzyły podobne unikaty, to były to napewno osobniki bierne, nieśmiałe, nie zdolne nietylko już do szerszej akcyi w duchu wyznawanych ideałów ale nawet do ich obrony. Zjawienie

się więc młodych, którzy nie poprzestają na przyznawaniu się do zasad katolickich ale zarazem podejmują pracę dla wprowadzenia ich w życie współczesne, a nawet widzą w tem cel swego życia jest bądź co bądź rzeczą nową.

Podnieśliśmy hasło, wytknięty mamy cel i krok za krokiem zdążamy ku niemu. Nie miotamy się na tych, co innymi drogami do swoich celów dążą,—nie mieszamy z błotem tych, co inne zasady głoszą, bo jesteśmy przeciwnikami metody burzenia, bo chcemy skupić swe siły w pracy pozytywnej, bo jeżeli w pewnych wypadkach uznajemy konieczność walki, to zarazem uznajemy potrzebę prowadzenia jej z godnością.

Naszem zdaniem młodość i jaskrawa gwałtowność czynów czy wystąpień nie koniecznie muszą iść w parze, a mamy nadzieję, że swą dalszą pracą przekonamy inaczej dzisiaj myślących w tym względzie.

Rozwijamy działalność spokojną, bo pewną zwycięstwa sprawy, której służymy!..

Niesumienni dłużnicy.

W ostatnich tygodniach w pismach codziennych znaleźliśmy cały szereg odezw do byłych studentów o zwrot stypendyów, zapomóg i pożyczek, pobranych w czasie studyów uniwersyteckich. Smutnie świadczące o poziomie etycznym w naszem społeczeństwie odezwy te przytaczamy w chronologicznym porządku.

> Zarząd Towarzystwa Polskiej Bratniej Pomocy w Zurychu wobec coraz liczniej stawianych kandydatur na stypendya, których dochody stałe, ledwie wystarczające na utrzymanie starych stypendystów, zaspokoić nie mogą, zwraca się z gorącem wezwaniem do wszystkich swych dłużników, którzy, będąc obecnie w lepszych warunkach materyalnych, dotychczas winnej Towarzystwu należności nie zwrócili, aby łaskawie zechcieli to w jaknajbliższej przyszłości uskutecznić.
>
> Dług—już to w całości, już to ratami, odsyłać należy pod adresem kasyerki Towarzystwa koleżanki Zofii Wojnównej — Zürich IV Vogelsangstrasse 21.
>
> Z poważaniem za Zarząd
>
> Zurych, 30/IV 1909 r. Sekretarka *Janina Niemyska.*

To jest jeden list, a oto i drugi od zarządu stypendyum imienia hr. Krystyna Ostrowskiego w Rapperswilu, który, nie posiadając obecnych adresów wszystkich byłych stypendystów, za pośrednictwem pism stara się trafić do sumień i poczucia honoru dłużników.

> Wspaniałomyślny fundator Stypendyów Rapperswilskich dla młodzieży polskiej, uczącej się za granicami kraju, hr. Krystyn Ostrowski, oddając cały swój majątek na ten cel szlachetny, położył jako pierwszy warunek dla tych, którzyby pragnęli z fundacyi korzystać, aby, doszedłszy do stanowiska niezawisłego, zwracali pobierane przez siebie fundusze dla wspomagania następców swoich.
>
> Chciał przez to nietylko uwiecznić fundacyę, powiększać i rozszerzać ją coraz bardziej, ale pragnął przedewszystkiem wykazać, że po-

winna istnieć ciągła i nieprzerwana solidarność między następującemi po sobie pokoleniami i że ten, któremu pomagano, powinien drugim z kolei pomagać.

Wobec zwiększających się potrzeb, upoważnieni przez Radę Muzealną do przypomnienia dawnym stypendystom tego obowiązku, uznanego zresztą przez nich w oświadczeniu, przyłączonem do ich podania o stypendyum, zwracamy się z prośbą o nadsyłanie Radzie, rozporządzającej funduszami stypendyalnymi hr. Krystyna Ostrowskiego, choćby małemi ratami sumy pobranej.

Pieniądze należy przesyłać pod adresem:

M. Joseph Gałęzowski, 11, rue Claude-Chahu, Paris (XVIe) lub

M. Boleslas Rubach, 15, rue Lamandé, Paris (XVIIe).

Do powyższej odezwy dodać należy następujące charakterystyczne wyjaśnienie, które nam zarząd funduszu stypendyalnego nadsyła:

Zjazd Rady Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswilu ma się odbyć w tym roku w dniach 4, 5 i 6 sierpnia. Na porządku dziennym jest rozdawnictwo stypendyów im. hr. Krystyna Ostrowskiego. Kandydatów jest wielka liczba—a fundusze rozporządzalne zbyt szczupłe. Od r. 1889 do r. 1908 rozdano franków 271,963.05. Zwrócono zaledwie franków 5,105.41. Pozostaje więc do zwrócenia suma olbrzymia franków 266,857.64.

A dalej znowu:

„Towarzystwo wzajemnej pomocy uczniów Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, ul. Jabłonowskich 10, wzywa wszystkich dłużników Towarzystwa, którzy dotąd z długu się nie uiścili, a których adresy Towarzystwu są nie znane, aby najdalej do dnia 1 lipca 1909 r. z długu należnego się uiścili, względnie porozumieli się co do zapłaty tegoż, gdyż w razie bezskutecznego upływu powyższego terminu imiona i nazwiska ich zostaną ogłoszone wraz z datami pobrania pożyczek i wysokością długu we wszystkich polskich pismach.

Wreszcie:

Kasa Bratniej Pomocy im. Słowackiego w Coethen wzywa wszystkich byłych swych członków, którzy kiedykolwiek korzystali z jej funduszów, a zobowiązań terminowych nie wypełnili — o uiszczenie się z długów. Jeżeli do d. 1 lipca r. b. interesowane osoby należności nie wniosą, względnie—nie porozumieją się w tej kwestyi z zarządem, Zarząd zmuszony będzie ogłosić szczegółową listę dłużników we wszystkich pismach polskich. Wszelkie przesyłki kierować należy na ręce kol. J. Rewkiewicza, Coethen (Anhalt) Ringstr. 40-I.

W ciągu miesiąca cztery wezwania o zwrot pożyczek i to pożyczek honorowych, jakiemi są bezwarunkowo wszelkie stypendya czy zapomogi ze stowarzyszeń wzajemnej pomocy—stanowią jaskrawą ilustracyę coraz większego upadku uczciwości wśród naszej inteligencyi. Do poruszenia tej przykrej i bolesnej sprawy wypadnie nam jeszcze powrócić w przyszłości, dziś więc szerzej omawiać jej nie będziemy. Chcemy jednak przy sposobności zwrócić uwagę, że sprawa zwrotu pobranych zapomóg niezupełnie właściwie traktowana jest i przez stowarzyszenia studenckie czy instytucye spo-

łeczne. Konieczność korzystania z pożyczek, zapomóg czy stypendyów nie jest dla nikogo ani hańbą, ani ujmą i zbytecznie najzupełniej stowarzyszenia czy instytucye chowają zazwyczaj w tak głębokiej tajemnicy, *kto* z tych zapomóg lub stypendyów korzysta.

W sprawozdaniach dorocznych powinny być wymieniane nietylko cyfry ale i osoby, dalej powinien być zawsze określony maksymalny termin, po którego upływie ma nastąpić obowiązkowe rozpoczęcie spłacania pożyczki czy stypendyum, wreszcie przy dorocznych sprawozdaniach powinien być podawany całkowity wykaz *wszystkich* dłużników danego stowarzyszenia czy instytucyi wraz z oznaczeniem wysokości pobranej zapomogi, sumy już spłaconej i przytoczenia powodów, dlaczego pożyczka nie jest spłacana, jeżeli minął ostatni termin rozpoczęcia spłaty.

Rozumiemy doskonale, iż ktoś może i po kilku latach od chwili opuszczenia szkół nie zdobyć sobie odpowiedniego stanowiska, któreby już pozwalało rozpocząć spłatę długu, albo musi dźwigać wyjątkowo poważne ciężary rodzinne i przy względnie dostatniej posadzie końca z końcem nie wiąże—ha, trudno — ale niechże jeden i drugi pan czują się w obowiązku złożenia odpowiedniego wyjaśnienia zarządowi stowarzyszenia, w którem zobowiązanie zaciągnął.

Takie wykazy dłużników powinny być corocznie rozsyłane do wszystkich większych redakcyi i instytucyi społecznych. Wówczas nie będzie potrzeby grożenia niesumiennym dłużnikom ogłaszaniem ich w gazetach, nie będzie też, wobec jawności, takich nadużyć, że ze studenckich kas wzajemnej pomocy czy stypendyów korzystają często nie ci, co naprawdę są w potrzebie.

Wszystkie stowarzyszenia studenckie raz wreszcie powinny zerwać z systemem bawienia się w ślepą babkę, — jest to koniecznością, podyktowaną przez dobro społeczne i interes publiczny. Jawność, jawność i jeszcze raz jawność!..

Rocznica grünwaldzka.

Przypadająca w roku przyszłym 500-na rocznica bitwy pod Grünwaldem podsunęła myśl „Gazecie Kujawskiej" uczczenia pamięci tego zwycięztwa oręża polskiego nad przemocą krzyżacką odpowiednim pomnikiem. Projekt ten nie zyskał jednak uznania w szerszych sferach społeczeństwa; powtórzyły go te i owe pisma ale bez zapału, jakby instynktownie odczuwano, że nie pora teraz w naszych warunkach na obchody uroczyste dawnych, minionych zwycięstw. Pan Adam Grabowski, omawiając projekt pomnika na szpaltach „Głosu Płockiego" № 3-ci (z r. b.) i zaznaczając jego niewczesność zarówno pod względem ideowym jak i praktycznym, czyni następujące uwagi: „Postawić pomnik, — to znaczy — wydać na to kilkadziesiąt, jeżeli nie sto tysięcy rubli.

A w kraju bieda ogromna i wiele, wiele potrzeb woła o ich zaspokojenie.

Tysiące robotników pozostaje bez pracy.

Tysięcy szkół nam braknie, a o podtrzymanie istniejących trzeba wciąż kołatać do sztywniejącej już ofiarności społecznej. A za sto tysięcy ileż szkół można podtrzymać, a ileż wpisów można opłacić za biedną młodzież, wyrzucaną ze świątyni nauki.“

Na razie refleksye p. Adama Grabowskiego przebrzmiały bez echa, aż oto poseł do parlamentu wiedeńskiego, poeta i hakatysta w jednej osobie, p. Rosegger za pośrednicwtem osławionego „Schulverein'u“ wydał odezwę, wzywającą wszystkich patryotów niemieckich do złożenia olbrzymiego funduszu na zakładanie szkół niemieckich na Ślązku austryackim i pograniczu Galicyi. Udział w składce oznaczony został na 2000 koron, płatnych w ciągu pięciu lat, jeżeli w tym okresie czasu ogólna suma zapisów dojdzie do 2 milionów koron (800 tysięcy rubli).

I oto wystąpienie p. Rossegera stało się tem wstrząśnieniem, które skrystalizowało myśli, wypowiedziane na łamach „Głosu płockiego“ i w odpowiedzi na odezwę niemiecką pisma galicyjskie ze „Słowem Polskiem” na czele zainicyowały milionowy Dar Grünwaldzki na polskie szkolnictwo kresowe, wzywając społeczeństwo, aby zamiast pomnika złożeniem tego daru uczciło wielką rocznicę.

Rozumny ten projekt znalazł natychmiastowy posłuch w szerokich kołach, — w ciągu paru dni złożono w redakcyach kilkadziesiąt tysięcy koron; dalsze składki płyną nieustannie, a niemałą pobudką ku temu był list Sienkiewicza do redakcyi „Nowej Reformy“ w Krakowie.

Oto treść jego:

Szanowny Panie Redaktorze!

Podczas pobytu mojego w Szwajcaryi wyczytałem w „*Głosie Warszawskim*“, iż „*Nowa Reforma*“ popiera nadzwyczaj gorąco sprawę zebrania miliona koron na szkoły kresowe, z tego powodu zwracam się do waszej Redakcyi z następującem oświadczeniem:

Uznając, że walka nie na armaty i bagnety, ale na szkoły jest najszlachetniejszą i jedyną walką, jaką nasz naród podjąć może, ofiaruję na ten cel tysiąc koron, w ten sposób, że w pięciu latach przeznaczonych na zebranie miliona, będę składał w krakowskiej Kasie oszczędności za waszem pośrednictwem po dwieście koron rocznie na rachunek komitetu, który zajmuje się zbieraniem podpisów.

Ofiarę tę składam jednak bezwarunkowo, to jest bez względu na to, czy w ciągu powyżej wymienionych lat zbierze się lub nie zbierze milion koron.

Sądzę bowiem, że pół, a nawet i ćwierć miliona może mieć wielkie znaczenie w obronie od wynarodowienia naszych przyszłych pokoleń — i że gdy nie można założyć dziesięciu szkół, to lepiej jest założyć pięć, trzy, a nawet jedną, niż nie założyć żadnej.

Ufam jednak, że podpisów na milion się znajdzie, a jestem głęboko przekonany, że suma ta zostanie conajmniej zdwojona, jeśli większe przyobiecane kwoty zostaną poparte przez drobne składki patryotów, którym przyszłość narodu leży na sercu.

W tej myśli dla otwarcia rubryki i drobnych ofiar, składam również w waszej Redakcyi 10 koron.

Z wysokiem poważaniem

Henryk Sienkiewicz.

Wiedeń, 22 maja 1909.

W Królestwie, jak pospieszył z wyjaśnieniem „Warszawskij Dniewnik" publiczne wzywanie do składek na Dar Grunwaldzki i zbieranie ich przez redakcye pism może dopiero nastąpić po wyjednaniu odpowiedniego pozwolenia władz.

Niewątpliwie, z chwilą uzyskania pozwolenia, składki na Dar Grunwaldzki popłyną niemniej obficie, jak w Galicyi...

als.

INFORMACYE.

Wybierający się na wyższe studya do uczelni zagranicznych po informacye co do kosztów utrzymania, stosunków i warunków nauki mogą się zwracać pod następującymi adresami:

= Antwerpia (szkoła handlowa wyższa). Cercle d'étudiants polonais, 13 rue de la Brèche.

= Erlangen, Bawarya (uniwersytet), p. Stefan Brzeziński, Marquardsenstrasse 15, II.

= Fryburg, Baden (uniwersytet), p. Stanisław Kuliński, stud. med. Albertstrasse 18.

= Fryburg, Szwajcarya (uniwersytet), Société polonaise „Filarecya", avenue Pérolles 1.

= St. Gallen (akademia handlowa), Polnisch.-Verein „Polonia", Handelsakademie.

= Genewa (uniwersytet), Société Polonaise „Koło", rue Bernard Dussaud 1.

= Grenobla (uniwersytet, inst. elektrotechniczny), kol. Harasimowicz, 12 rue Humbert II.

= Heidelberg (uniwersytet), dr. Edward Loth, Anatomisches Institut.

= Ilmenau (wyższa szkoła techniczna). Poln. Lesezimmer Rottenbachstr. 30.

= Karlsrue (politechnika). Polnisch. acad. Lesezimmer, Gerwigstrasse 36.

= Liège—Belgia (uniwersytet, instyt. elektr., technika), Société polonaise, p. Feliks Frycz. 26 Quai Orban.

= Lozanna (uniwersytet). Société polonaise, rue Solitude 12.

= Lyon (uniwersytet, inst. chemii przemysłowej), p. Grabowski, 2 Chemin des Cubattes.

= Nancy (uniwersytet, wyższa szkoła handlowa i t. d.), Biblioteka polska, kol. Łaniewski, 20 r. Grandville.

= Montpelier (uniwersytet, wyższa szkoła rolnicza, handlowa), kol. Krakowski, 12 rue Marioque, podczas wakacyi: Warszawa, Wspólna 49.

= Monachium (uniwersytet, politechnika). Poln. acad. Verein von der Taunstrasse 15.

= Paryż, komisya naukowa, p. B. Rusiecki, 15 r. Lamandé.

= Praga Czeska. (Politechnika, Uniwersytet, Akademia Handlowa).

= „Ognisko Polskie" Praga II Podskalska trida c. 332. Na odpowiedź należy przysyłać markę 10-kopiejkową.

= Tuluza (uniwersytet, instytuty: chem, i elektrotechn.), p. Ojrzyński, 10 r. Dalayrac.

= Winterthur (wyższa szkoła techniczna) „Polnisch.-Verein", Unterstrasse 36.

= Würzburg (uniwersytet). W-ny Stan. Przetaczyński, Pleicher-Kirchgasse 7.

= Zürich (uniwersytet, politechnika), Polnisch-Verein „Ogniwo", Sonnegstrasse 2.

Wyższe kursy techniczne w Warszawie. Znaczna część maturzystów polskich kształci się obecnie w zawodzie technicznym po za granicami państwa Rosyjskiego; wielu z trudnością znajduje fundusze na wyjazd. Mając właśnie tę młodzież na względzie, sekcya techniczna Towarzystwa Kursów Naukowych, zdecydowała się otworzyć z jesienią 1909 r. kursy wyższe techniczne z całodziennem zajęciem i z szerokim zakresem nauk oraz znaczną liczbą godzin na nie poświęconych. Ponieważ przy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa istnieją pracownie fizyczna i chemiczna, z których szczególnie pierwsza jest przeznaczona do publicznego użytku, zdecydowano skorzystać z istniejących urządzeń i zbiorów, wynajęto sale, niegdyś zajmowane przez Towarzystwo Popierania Przemysłu i Handlu, i tam postanowiono otworzyć kursy wyższe techniczne. Mając na względzie skromne środki, jakimi rozporządza Towarzystwo Kursów Naukowych, sekcya techniczna na razie stawia sobie jako cel pierwszy i najważniejszy udzielenie słuchaczom wiadomości podstawowych teoretycznych, które umożliwiłyby im prowadzenie dalszych studyów specyalnych w dowolnym dziale techniki, w odpowiednio uposażonych szkołach lub politechnikach zagranicznych. Przy wyborze sił nauczycielskich sekcya kierowała się dążeniem zdobycia jednostek posiadających możliwie wyższe wykształcenie naukowe, obok doświadczenia pedagogicznego.

Dla ułatwienia młodzieży przyswojenia sobie podawanych w wykładach wiadomości, będą prowadzone w szerokim zakresie ćwiczenia rachunkowe i rysunkowe, a zarazem będą postawione wyraźnie określone wymagania co do ilości wykonanych przez słuchaczów ćwiczeń, słowem: rada naukowa, składająca się z wykładających, nietylko myśli o tem, aby dać możność słuchaczom zdobyć wiedzę, lecz postara się również, aby, przez zastosowanie odpowiednich rygorów, zapewnić im najkorzystniejsze wyzyskanie czasu studyów.

Dodać należy, że przewidując zebranie się pewnego, chociażby nawet nielicznego, grona słuchaczy, którzy nie będą mogli czy nie zechcą kończyć wykształcenia technicznego za granicą, sekcya techniczna zdecydowała dla nich prowadzić dodatkowe trzy semestry wykładów specyalnych, obejmujących działy: konstrukcyjno-mechaniczny i technologiczny.

Specyalne przedmioty i ćwiczenia konstrukcyjne będą prowadzone przez inżynierów praktyków, posiadających zarazem gruntowne teoretyczne przygotowa-

nie w swoim zawodzie. Zwiedzanie fabryk i praktyka letnia zastąpią kosztowne laboratorya techniczne.

Mając na względzie podany tu plan prowadzenia i urządzenia kursów technicznych należy przypuszczać, że znajdą one kandydatów wśród maturzystów szkół polskich; bo zaznaczyć należy, że dla wyraźnego określenia poziomu naukowego słuchaczów, na kursy będą przyjmowani maturzyści tylko lub młodzież, posiadająca świadectwa równorzędne maturze.

Kancelarya Towarzystwa Kursów Naukowych znajduje się w Warszawie w domu Stowarzyszenia Techników przy ul. Włodzimierskiej Nr. 3/5.

KRONIKA.

Sprostowania. W numerze 2—3-cim w artykule p. Tad. Błażejewicza: „Nowe zadania" wskutek niezupełnie dokładnej korekty na str. 38-ej przedostatni ustęp niejasno wyraża myśl autora.

Do ustępu tego mylnie zostało dołączone zdanie: „To błąd mylny w zasadzie, fatalny w skutkach", (13-ty wiersz od dołu) gdyż wyrazy te winny stanowić całość z poprzednim ustępem.

W zdaniu zaś, zaczynającem się od słów „Trudno wymagać.., (wiersz 11 od dołu) po wyrazie „jednostki" opuszczono słowa „z pośród świeckich". Tym sposobem zdanie to winno brzmieć jak następuje: „Trudno wymagać, aby jednostki z pośród świeckich, mające jedynie ślepą wiarę, mogły na innych oddziaływać i do prawdy ich pociągać".

— W tymże numorze na stronicy 74-ej w 13-ym wierszu od dołu w notatce „Wieczory dyskusyjne" wydrukowano mylnie „do tego pokoju" zamiast „do ideału", skutkiem czego zdanie jest niejasne.

Po poprawieniu winno ono brzmić, jak następuje: „W odczycie prof. Massoniusa podnieść należy doskonałe zrozumienie roli Kościoła i trafne zaznaczenie, iż Kościół katolicki nie jest utopijnym marzycielem, żądającym od członków swych natychmiastowej doskonałości, ale głosi naukę, która z całą znajomością natury człowieczej prowadzi stopniowo ludzkość do ideału".

Zjazd „Ogniska", Związku Towarzystw kształcącej się młodzieży polskiej w Austryi odbył się w pierwszych dniach kwietnia w Cieszynie. W zjeździe tym brali udział delegaci prawie wszystkich Towarzystw zjednoczonych z Galicyi, przybyli również przedstawiciele z Królestwa, Poznańskiego, Wiednia, Przybramu, Leoben, Pragi Czeskiej, Paryża, Nancy, Leodyum, Petersburga i innych miast uniwersyteckich. Ogółem w zjeździe uczestniczyło, oprócz gości, 103 delegatów z 134 głosami. Na zjazd przysłał list półkownik Z. Miłkowski (T.T. Jeż.), w którym jest między innymi taki ustęp:

„Dobre natchnienie wskazało Wam Cieszyn na zjazd tegoroczny. Wasza na gruncie śląskim obecność doda otuchy tym, co się bronią, świadcząc, że dola ich żywo brać polską obchodzi i może upominająco Czechów powściągnąć w ich zaborczej na szkodę polską zachłanności. Wszak położenie ich w niczem się od naszego nie różni; wszak oni, w odpieraniu nacisków niemieckich, tak samo potrzebują nas, jak my ich. Uczucia i interesy zarówno pomiędzy nami a nimi za zgodą braterską przemawiają i obopólnie sprawiedliwość nakazują".

Zjazd „Ogniska" w Cieszynie był podwójnie korzystny: młodzież bliżej się zapoznała ze stosunkami na Śląsku Austryackim a mieszkańcom Cieszyńskiego dodał podniety do dalszej skutecznej pracy koło budzenia samowiedzy narodowej.

O pracę wakacyjną dla studentów. Tow. wzajemnej pomocy studentów politechniki lwowskiej, jako Tow. wyłącznie humanitarne, skupia studentów niezamożnych, z których wielu własną utrzymuje się pracą. Studenci ci, pochodzący w znacznej części z Królestwa, bardzo chętnie podjęliby się w czasie wakacyjnym (od 15-go lipca do 15-go października), jakiej odpowiedniej płatnej roboty, jak: lekcyi, przygotowania do egzaminów,

pracy biurowej, rysunków technicznych, pomiarów itp.

Tow. zwraca się za naszem pośrednictwem do profesorów szkół, do kierowników biur inżynierskich i technicznych, wreszcie do samego społeczeństwa z gorącą prośbą, aby skoro znajdzie się którekolwiek z wyżej wymienionych zajęć w Warszawie czy na prowincyi — zechcieli wiadomość o tem nadesłać do komisyi zarobkowej Tow.

Adres: Lwów, ul. Zofii Chrzanowskiej, Komisya zarobkowa Tow. wzajemnej pomocy stud. politechniki.

Studenci przy budowie mostu w Warszawie. Generał-gubernator warszawski zgodził się na dopuszczenie do robót przy budowie nowego mostu miejskiego na Wiśle 10 studentów wyższych zakładów technicznych na czas czterech miesięcy letnich z pensyą po rb. 50 miesięcznie. Wydatek powyższy ma być pokryty z funduszów, przeznaczonych na budowę mostu.

Żydzi na politechnikach rosyjskich. W politechnice kijowskiej, gdzie dotychczas przyjmowano 15 proc. żydów, obecnie władze naukowe postanowiły przyjmować tylko 10 proc.

Jednocześnie dzienniki petersburskie notują pogłoskę, że w Petersburgu żydzi nadal nie będą przyjmowani na politechnikę.

Wyższe kursy żeńskie w Warszawie. Organizujące się przy uniwersytecie warszawskim wyższe kursy żeńskie mają być prywatnem przedsiębiorstwem profesorów uniwersytetu i obliczone są przeważnie na słuchaczki rosyanki i żydówki. Wykłady mają być prowadzone w godzinach poobiednich. Projektodawcy zwrócili się do ministeryum oświaty z prośbą o oddanie na pomieszczenie kursów starego gmachu uniwersyteckiego.

W Wiedniu w polskiem postępowem stowarzyszeniu młodzieży akademickiej „Spójnia“ Zarząd na przeciąg letniego semestru ukonstytuował się następująco: przewodniczący — Władysław Freider, wiceprzewodniczący — Jan Strzelecki, sekretarz—Witold Waszczyński, skarbnik—Ignacy Dziedzic, bibliotekarz—Edmund Grycendler.

Bummel. We Lwowie—pisze *Słowo polskie*—istnieje burszowskie Tow. akademickie „Leopolia“, o którego istnieniu publiczność lwowska prawie nic nie wie, tylko bywalcy niektórych restauracyi mają co pewien czas sposobność oglądać pijatyki „burszów“, gdy ci przyjmują nowego „fuchsa“. W ostatnich czasach obok „Leopolii“ powstało nowe Tow. „Gaskonia“, a „Leopolia“, chcąc uczcić powstanie bratniego Towarzystwa, urządziła kommers, zakończony, jak zwykle, libacyą. Podczas libacyi tej wyrodziła się zapewne myśl, aby we Lwowie urządzić „bummel“ demonstracyjny pochód przez miasto, na wzór Pragi i Wiednia. W pochodzie mieli wziąć udział członkowie pokrewnego Tow. „Germania“ i „Juda“, tudzież delegaci z Czerniowiec. Bummel ten miał się odbyć d: 13-go czerwca na ul. Karola Ludwika podczas obchodu Berka Joselowicza. O zamiarze tym dowiedziała się młodzież akademicka narodowa, to też udała się do kawiarni „Boulevard“, skąd miał wyjść „bummel“, i przedstawiła burszom, że społeczeństwo polskie we Lwowie nie zniosłoby takiego bummlu. Bummlowcy, początkowo bardzo zdziwieni, zachowywali się zrazu prowokacyjnie, później atoli ścierpnęła im skóra, to też, pochowawszy czapeczki i odznaki, zaznaczyli, że nie zrzekają się prawa urządzania „bummlu“, ale na razie odstępują od tego zamiaru. No, i publiczność nie miała sposobności oglądania tej szynkowo-ulicznej defilady pajaców. A trzeba dodać, że młodzież akademicka ignoruje te towarzystwa, związek zaś towarzystw akademickich „Ogniwo“ uchwalił odmawiać satysfakcyi członkom tych Towarzystw burszowskich, które mają na celu zdeprawowanie naszego ducha narodowego przez zaszczepianie młodzieży rozmaitych przestarzałych naleciałości germańskich.

Uniwersytet katolicki w Rzymie. „*Lettera apostolica*“ w części urzędowej „*Osservatore Romano*“ zapowiada otwarcie nowego uniwersytetu w Rzymie. Zadaniem uniwersytetu będą studya biblijne zjawiających się teoryi i zwalczanie niezgodnych z zasadami wiary.

Wszechświatowy chrześcijański związek studencki w Rosyi. W rosyjskiej gazecie „*Riecz*“ znajdujemy następującą notatkę:—Jak podają „*Kiewskija wiesti*“ w ostatnich czasach zaczęły powstawać w Rosyi chrześcijańskie kółka studenckie. Według naszych wiadomości kółka podobne istnieją już w Petersburgu, Charkowie i Jurjewie (Dorpat). Niedawno przedstawiciel związku petersburskiego bawił w Kijowie w celu zorganizowania takiego kółka w gronie studentów miejscowych. Związek petersburski przyłączył się do istniejącego wszechświatowego związku studenckiego. Związek ten powstał w r. 1858-ym w Ameryce, a dnia 6-go lipca 1877-go roku odbył się już zjazd 25 przedstawicieli amerykańskich kółek studenckich. Na zjeździe owym postanowiono wszystkie chrześcijańskie kółka studenckie w Ameryce połączyć w jedno zrzeszenie pod nazwą Amerykańskiego Chrześcijańskiego Związku Studenckiego.

Związek ten wzrastał z nadzwyczajną szybkością, dość wspomnieć, iż obecnie, jak widać z wykazów 1905-go roku, posiada 722 kółka męskie, 553 żeńskie z ogólną liczbą 80,729 członków i członkiń, czyli że prawie połowę młodzieży studenckiej Stanów Zjednoczonych i Kanady należy do tych stowarzyszeń.

Wiara w bóstwo Jezusa Chrystusa i usilne dążenie do prowadzenia życia według zasad ewangelii — oto zasadniczy program Amerykańskiego Związku Studenckiego. Członkowie każdego kółka zbierają się co tydzień w celu wspólnej modlitwy i czytania ewangelii.

Prócz tego kółka rozwijają działalność w kierunku studyowania literatury chrześcijańskiej, urządzania odczytów publicznych i pogadanek oraz oddają się z poświęceniem pracy misyjnej.

Za przykładem Ameryki chrześcijańskie kółka studenckie zaczęły powstawać również w Europie Zachodniej, a zwłaszcza szybko rozkrzewiły się w Anglii.

W roku 1895-ym powstał wszechświatowy chrześcijański związek studencki, liczący przeszło 1825 kółek we wszystkich krajach (prócz Rosyi) i z górą 105,000 członków zarówno studentów jak i profesorów. Zarząd głównego komitetu związku znajduje się w Nowym Yorku.

W skład komitetu wchodzą po dwóch przedstawiciele każdego kraju, którzy zbierają się raz na dwa lata. Prezesem związku jest szwed vice-prezesem—japończyk, skarbnikiem — anglik, sekretarzem generalnym—amerykanin.

Związek nie stawia żadnych ograniczeń narodowościowych czy wyznaniowych.

„Dla nas—mówi ustawa Związku—cenną jest zasada św. Augustyna: „W rzeczach zasadniczych—jedność, w drugorzędnych — wolność, a we wszystkiem—miłość".

„My pragniemy, szanując religijne przekonania każdego, wyciągnąć bratnią dłoń do tych wszystkich kolegów, którzy chcą stanąć na gruncie ewangelii i zachować „jedność ducha w związku całego świata".

Najstarsza politechnika. Politechnika brunświcka, założona w r. 1745 przez księcia brunświckiego, Karola, szwagra Fryderyka Wielkiego, jest najstarszą ze wszystkich dziś istniejących. Wzmiankę o niej znajdujemy w dziele świeżo wydanem w Sztutgardzie p. t. „Zwycięski pochód techniki" („Der Siegeslauf der Technik").

W połowie XVIII wieku dawała się już czuć potrzeba uczelni technicznej, niezależnej i odmiennej od zwyczajnych uniwersytetów. Potrzebę tę uzasadnia jeden z ówczesnych uczonych, O. Jerusalem w następujący sposób: „Społeczeństwo specyalnymi względami obdarza tylko niektóre gałęzie wiedzy, a my, zaszczyceni tytułem uczonych, po wsze czasy byliśmy i dotychczas jesteśmy tego przekonania, że tylko my stanowimy duchową podporę tego społeczeństwa, i że po za czterema naszymi wydziałami niemasz ani nauki, ani zbawienia. A jednak nie przyniosłoby to nam żadnej ujmy, gdybyśmy niektórym bliźnim naszym, żyjącym po za obrębem uniwersytetu, odstąpili część, bodaj połowę naszych obowiązków i zaszczytów. Ci, którzy pracują we wszechświatowym handlu, którzy się zajmują urządzaniem zakładów użyteczności publicznej, ulepszeniami w rozmaitych gałęziach przemysłu, rolnictwa i gospodarstwa, którzy się poświęcają mechanice, słowem na lądzie i na morzu, na ziemi i pod ziemią dobru publicznemu służą, ci wszyscy są równie użytecznymi członkami społeczeństwa, jak uczeni. A jednak do tej chwili, nie bacząc na ogromne koszta utrzymania szkół i akademii, dla tamtych nie zrobiono nic, albo bardzo niewiele".

Skutkiem tego nawoływania i w imię tych zasad założono kolegium Karolinum w Brunświku, jako pierwszą uczelnię poświęconą naukom ścisłym i realnym.

Pismo polskie na Syberyi. Grono Polaków, zamieszkałych w Charbinie, powzięło zamiar wydawania pisma polskiego, tymczasowo raz na tydzień. Ma ono nosić tytuł „Gwiazda Syberyi", na co już podobno koncesyę otrzymano.

Pomienione grono zwróciło się do jednego z b. właścicieli drukarni Warszawie o przybycie do Charbina i urządzenie drukarni dla tygodnika.

Redaktorem ma być jeden z dziennikarzy-polaków, który pracował w prasie syberyjskiej.

Tygodnik oczywiście poświęcony będzie wyłącznie życiu polaków na Syberyi.

Wycieczki wakacyjne. Akad. klub turystyczny we Lwowie organizuje w czasie bieżących feryi następujące wycieczki:

I. Wycieczkę na Babią Górę, Ślązk Cieszyński i do Trenczyna. Czas od 15/VII — 23/VII. Koszta około 50 koron. Prow. p. Wł. Wójtowicz (Lwów, ul. św. Józefa 10).

II. Wycieczkę w Tatry z wejściem na 12 najwyższych szczytów, w czasie od 28/VII—12/VIII. Tylko dla dobrych turystów. Koszta około 90 koron. Prowadzi również p. Wójtowicz.

III. Wycieczka do Warszawy. Tam Wisłą przez Sandomierz i Kazimierz, powrót przez Łódź, Częstochowę, Sosnowiec, Ojców. Czas od 25/VII—8/VIII. Prowadzi p. M. Zdrójkowski. Potrzebny paszport.

IV. Wycieczkę w Dolomity i Alpy Tyrolskie od 1/VII—31/VIII. Prow. dr. Tadeusz Ostrowski (Lwów, ul. Pijarów 4). Tylko dla dobrych turystów. Koszta 240 kor. (1 korona= 40 kop.).

V. Wycieczkę do Szwajcaryi, Medyolanu i Monachium (bez szczytów) od 1/VIII—31/VIII. Koszta 300 koron. Prow. dr. M. Orłowicz (Lwów, dom akademicki).

VI. W czasie od 15/VII—31/VIII kilkadziesiąt mniejszych wycieczek w Tatry, Pieniny i Niżne Tatry, których program ogłasza się afiszami na miejscu w Zakopanem. Lokal klubu mieści się tamże przy ul. Krupówki 51; dla członków tanie mieszkania.

VII. Wycieczkę w Karpaty Siedmiogrodzkie od 2/IX—16/IX. Tam koleją, powrót Dunajem. Koszta 170 koron. Prow. p. Adam Konopczyński (Lwów, Kadecka 6).

Udział w powyższych wycieczkach brać mogą także nieczłonkowie klubu za opłatą na rzecz klubu. Listy o bliższe informacye adresować należy wprost do prowadzących wycieczki lub: Akademicki klub turystyczny. Lwów.

Pierwsza rocznica „Polonii", związku katolickich studentów w Krakowie, przypadła d. 18 czerwca r. b. w dzień Najśw. Serca Jezusowego. Rano tego dnia cała „Polonia" wysłuchała wspólnie Mszy św. w kościele akad. św. Anny, wieczorem zaś wzięła udział w procesyi N. S. Jezusa z kościoła św. Barbary.

Dnia 22 czerwca we wtorek odbyło się w „Polonii" uroczyste zebranie, na które prócz „polonistów" przybyli pp. prof. Uniw. Jagiel. i inni zaproszeni goście.

„Wieczór" rozpoczął się od przemówienia prezesa T-wa kol. Puchałki, sł. prawa, który powitał gości i odczytał nadesłane telegramy. Po szczegółowem sprawozdaniu rocznem z działalności „Polonii", które odczytał wiceprezes sł. pr. Fopp, zabrał głos prof. Uniw. dr. B. Wicherkiewicz, który w pięknem przemówieniu zachęcał „Polonię" do dobrej pracy na chwałę Bożą i pożytek Ojczyzny.

Nastąpił potem odczyt p. t. „Nasze zadania", który wygłosił kol. Załuski, sł. filozofi. Wreszcie kol. Grzybowska z przejęciem wypowiedziała wiersz: „Kocham i wierzę". Na zakończenie miłej dla nas uroczystości odśpiewaliśmy chórem kilka pieśni patryotycznych.

A teraz kilka cyfr: członków liczyła „Polonia" 65, ponieważ 3 usunęło się, a 7 wydalono, pozostało więc w Stowarzyszeniu 55 czynnych członków, nadto jest jeszcze 40 członków wspierających. Razem 95. Odczytów wygłoszono 26, zabaw z tańcami urządziliśmy 4, koncertów 6, wycieczek 4, wolnych zgromadzeń 4, uroczystych wieczorów patryotycznych 2, gazet mamy w czytelni 30, książek w bibliotece 220. Wreszcie „Polonia" brała gremialnie udział we wszystkich obchodach religijnych i narodowych, oraz w wiecach akademickich. *T. Fopp.*

Wyjaśnienie stanowiska „Polonii" na wiecu akademickim, odbytym w Krakowie 21 czerwca 1909. Otrzymaliśmy z prośbą o umieszczenie odezwę następującej treści: „W dniu 21 b. m. odbył się w Krakowie wiec ogólnoakademicki, zwołany przez młodzież socyalistyczną, „postępowo"-demokratyczną i ludowcową. Zszeregowana jest ta młodzież w stowarzyszeniach: „Spójnia", „Związek akademicki" i „Czytelnia akademicka".

Wiec miał określić stanowisko młodzieży uniwersytetu krakowskiego wobec odmowy JE. Ks. Kardynała Puzyny przeniesienia prochów nieśmiertelnego Juliusza na Wawel.

Na wiec ten, jako ogólno-akademicki, zjawiły się i inne odłamy młodzieży, jak: „Zjednoczenie" (wszechpolacy), młodzież katolicko-narodowa, zgrupowana w „Polonii" i Sodalicya akademicka.

Wiec jak zaznaczono, miał być poważnym wyrazem zapatrywań młodzieży wszechnicy Jagiellońskiej na sprawę pochowania zwłok Słowackiego wobec odmowy JEm. Ks. Kardynała krakowskiego. Ponieważ jednak „Polonia", jako stowarzyszenie zaledwie rok istniejące, grupuje niewielką liczbę młodzieży katolicko-narodowej, reszta zaś akademików-katolików nie dość energicznie poparła jej usiłowania, nie mogliśmy wpłynąć na przebieg wiecu, który przybrał cechę antyreligijnej i antykościelnej manifestacyi.

Cały szereg mówców z obozu bezwyznaniowego i pseudo-postępowego atakował w ostry i zuchwały sposób religię, Kościół katolicki i duchowieństwo.

Jedynie młodzież katolicko-narodowa z „Polonii" przez usta trzech swoich mówców dawała dobitną i stanowczą odprawę, oraz z powodzeniem odpierała oszczerstwa, miotane na to, co dla niej jest najświętsze. Przemówienia reprezentantów „Polonii", kolegów Kajruksztysa i Foppa, były dzielną obroną tak religii i Kościoła, jakoteż i hierarchii kościelnej.

Większość prasy krakowskiej już to przez złą wolę, już to przez niedbalstwo swoich informatorów, w sprawozdaniach z wiecu podała najfałszywsze wiadomości co do stanowiska, jakie „Polonia" zajęła na tym wiecu— i wskutek tego opinia publiczna wprowadzoną została w błąd.

I tak, zaznaczono w prasie, że rezolucye, uchwalone na owym wiecu, przeszły przez aklamacyę, my zaś uroczyście oświadczamy, że przeciwko uchwaleniu przez aklamacyę obydwóch na wiecu zapadłych rezolucyi „Polonia“ protestowała, czego jednak stronnicze prezydyum wiecu, korzystając z zamieszania i zgiełku, nie uwzględniło.

Również prasa (z wyjątkiem „Głosu Narodu“ i „Gazety Powszechnej“) pominęła zupełnem milczeniem fakt, że „Polonia“ na wiecu tym zajęła zupełnie samodzielne stanowisko, wyrażone w deklaracyi, złożonej przed głosowaniem przez swojego przewodniczącego, a opiewającej: „Katolicka młodzież narodowa Uniw. Jagiell, zrzeszona w „Polonii“, oświadcza, że, stojąc na stanowisku, wypowiedzianem już na wiecu dnia 15 lutego r. b, popiera nadal akcyę, mającą na celu pochowanie prochów J. Słowackiego na Wawelu. Natomiast kategorycznie protestuje przeciwko napaściom na religię i Kościół, jako niemającym ze sprawą nic wspólnego, a ubliżającym godności polskiej młodzieży“.

Z końcowego ustępu tej deklaracyi zupełnie jasno wynika, że „Polonia“, dążąc zgodnie z wolą narodu do złożenia prochów Słowackiego na Wawelu, trzyma się jedynie tylko taktyki, zgodnej z jej zasadami katolicko-narodowemi.

W końcu zaznaczamy jeszcze, że w zajściach, jakie po wiecu nastąpiły, „Polonia“ udziału żadnego nie brała.

W Krakowie dnia 25 czerwca 1909 r.

Członkowie Zarządu „Polonii“, Związku katolickiej młodzieży uniwersyteckiej w Krakowie: *Jan Puchałka, Tadeusz Fopp, Marya Grzybowska, Józef Pietrzak, Stanisław Kloska, Leonard Sędzierski, Kazimierz Sacha, Jan Mikułowski, Stefan Stasiniewicz.*

Ks. Kamil Kantak, znany z licznych prac w zakresie socyologii, krytyki literackiej i publicystyki, na uniwersytecie we Fryburgu Badeńskim uzyskał doktorat teologii, napisawszy rozprawę: „O Bernardynach w Bydgoszczy“.

Ś. p. Erazm Jerzmanowski. Dnia 10-go lutego r. b. pochowano w Krakowie znanego filantropa-obywatela ś. p. Erazma Jerzmanowskiego. Pochodził z Królestwa, olbrzymiego majątku dorobił się w Ameryce, skąd stale znaczniejszemi sumami zasilał instytucye oświatowe, społeczne i narodowe zarówno we wszystkich trzech dzielnicach Polski. Po 25-o letnim pobycie za Oceanem, zlikwidował swój udział w Nowojorskiem Towarzystwie Gazowem i osiadł w Prokocimie w Galicyi, będąc opatrznościowym dobroczyńcą dla wszelkiego rodzaju instytucyi dobra publicznego.

Zmarły zapisał między innemi legatami milion dwieście tysięcy koron na rzecz Akademii Umiejętności z przeznaczeniem odsetek od tej sumy na coroczne nagrody za najlepszą pracę literacką, jaka się ukaże w języku polskim w ciągu każdego roku. Ta hojna, głębiej pomyślana fundacya niewątpliwie odda wielkie usługi zarówno pisarzom jak i piśmiennictwu polskiemu.

Ś. p. Konstanty Maryan Górski Krytyk sztuki: estetyk, poeta i literat, profesor Akademii sztuk pięknych, Konstanty Maryan Górski zmarł dn. 5 marca r. b. w Krakowie, przeżywszy lat 46.

Prace swe drukował w „Przeglądzie Akademickim“ i „Czasie“. W r. 1906-ym wydał tom poezyi p. t. „Wierszem“ Próbował też sił i w innych rodzajach literatury: jego nowela „Bibloman“ zdobyła pierwszą nagrodę na krakowskim konkursie nowelistycznym.

Ś. p. Jan Jeleński: Dnia 13-go kwietnia roku bież. zmarł w Warszawie założyciel i redaktor znanego tygodnika „Rola“. Ś. p. Jan Jeleński, urodzony 3-go maja 1845-go, nauki średnie ukończył w Kielcach, a warunki materyalne wcześnie go zmusiły do zapasów życiowych o byt. Początkowo telegrafista, później urzędnik na kolei, nie poprzestawał na samem zdobywaniu chleba lecz ciągle dopełniał swą wiedzę, pilnie oddając się samokształceniu. Gdy pierwsze jego próby publicystyczne zyskały uznanie, zwrócił swą działalność w tym kierunku, aż wreszcie całkowicie oddał się dziennikarstwu i w r. 1883-ym założył „Rolę“.

Gorąco oddany swemu społeczeństwu, doszedłszy do przekonania o szkodliwości żywiołu żydowskiego dla narodu polskiego zarówno pod względem moralnym jak i materyalnym, z całą energią swegó bujnego temperamentu skierował swą pracę w kierunku budzenia samowiedzy i odporności wśród swoich i na tem polu położył znaczne zasługi. Można się było nie godzić na całkowity program zmarłego redaktora „Roli“, można było być przeciwnikiem jego metody polemicznej, ale każdy musiał przyznać niezmordowany zapał, niezwykłą wytrwałość i ścisłą konsekwencyę w całej jego działalności. Nawoływał społeczeństwo polskie do samoobrony i samopomocy, a życiem swojem dał przykład, jak te hasła urzeczywistniać. W życiu społecznem ostatnich lat dziesiątków miał znaczenie niepowszednie, a przyszły historyk tych czasów nie będzie mógł pominąć wieloletniej pracy publicystyczno-społecznej ś. p. Jana Jeleńskiego.

Notatki statystyczne.

Ilość studentów we Fryburgu Szwajcarskim. W semestrze letnim 1909-go roku uniwersytet fryburski posiadał na teologii 203 studentów, na prawie 128, na filozofii 109 i 6 studentek, na przyrodzie 135 i 4 studentki; ogółem tedy 575 studentów i 10 studentek. Prócz tego było na teologii 8 słuchaczy, na prawie 3 i 1 słuchaczka, na filozofii 43 i 34 słuchaczki, na przyrodzie 23 i 14 słuchaczek. Razem więc 77 słuchaczy i 49 słuchaczek. Biorąc ogólną sumę uczących się, otrzymamy 652 mężczyzn i 59 kobiet, w tem 396 cudzoziemców, którzy w spisie według państw grupują się jak następuje: Niemcy 98, Rosya (głównie Polacy) 91, Francya 67, Bułgarya 31, Włochy 26, Stany Zjednoczone 21, Austrya 19, Holandya 9, Anglia 6, Luxemburg 6, Turcya 6, Hiszpania 4, Węgry 4, Kanada 2, Grecya 1, Ekwador 1, Norwegia 1, Australia 1, Tunis 1 i Rumunia 1.

Działalność rapperswilskiego Muzeum Narodowego w liczbach. Zarząd polskiego Muzeum Narodowego w Rapperswilu wydał za rok 1908 sprawozdanie ze swych czynności. Rok ubiegły był jednym z pomyślniejszych z szeregu lat ostatnich. Księga darów obejmuje 6,065 przedmiotów, a liczba tu byłaby o wiele wyższa, gdyby czas i możność były dozwoliły wciągnąć do księgi i wcielić do zbiorów cały zasób darów, otrzymanych w roku sprawozdawczym.

W liczbie 6,065 darów znajduje się przedmiotów pamiątkowych 64, numizmatów 24, rzeźba 1, rysunek 1, rycin 974, fotografii 128, map 512, nut 4, rękopisów 1,777, druków 2,927. Stan zbiorów wykazuje w poszczególnych działach następujące cyfry: przedmiotów pamiątkowych 1,170, numizmatów 5,825, rzeźb 562, obrazów olejnych 354, akwarel 392, miniatur 109, rysunków 1,880, rycin 20,229, fotografii 8,160, nut 1,113, map 1,241, druków 60,998, rękopisów 17,572, rozmaitości 383.

Zwiedziło Muzeum w roku 1908 osób 4,738. Zwiedzający Muzeum dzielą się według narodowości, jak następuje: alzatczyków 5, amerykanów 33, anglików 27, australczyków 4, belgów 5, brazylian 2, czechów 21, duńczyków 50, finlandczyków 2, francuzów 282, hiszpanów 4, chorwatów 3, niemców 250, ormian 9, polaków 1,392, rosyan 139, rumunów 2, serbów 5, szwajcarów 2,351, szwedów 14, węgrów 77, włochów 60.

Pracę w Muzeum prowadziło 4 urzędników. Ze zbiorów korzystały 294 osoby. Studyowały na miejscu 32 osoby.

Fundusze Muzeum składają się z kapitału żelaznego, który wynosił z końcem roku ubiegłego 33,176 franków, tudzież z dochodów niestałych. W roku 1908 wydatki wynosiły 15,950 franków, dochody zaś 13,197 fr., pozostał więc niedobór w kwocie 2,753 fr., który został pokryty z kapitału. Z końcem r. 1908 kapitał Muzeum wynosił 30,925 fr.

Z szeregu stypendyów, zarządzanych przez Muzeum, a mających pewne ściśle określone cele, wymieniamy fundusz stypendyalny hr. Ostrowskiego. Na rok 1908/9 pobiera stypendya z tego funduszu 41 uczących się, z których studyuje: w Krakowie 13, w Leoben 7, w Paryżu 4, po 3 we Fryburgu, Lwowie i Zurychu; w Winterthur 2, i po 1 w Berlinie, Genewie, Hradcu, Karlsruhe, Monachium i Wrocławiu. W liczbie stypendystów jest 30 mężczyzn i 2 kobiety.

Pod względem nauk stypendyści uczęszczają: na medycynę 7, górnictwo 6, filozofię i prawo po 5, mechanikę i przyrodę po 3, budownictwo, chemię i matematykę po 2, i po jednym na elektrotechnikę, dentystykę, literaturę, muzykę, rolnictwo i technikę. Wysokość stypendyów na rok 1908/9 jest następująca: 5 po 40, 17 po 30 i 19 po 25 fr. miesięcznie.

Część trzecia sprawozdania obejmuje dział naukowy i literacki, zaprowadzony od r. 1905. Część ta sprawozdania za rok ubiegły zawiera „Pamiętnik pułkownika Walentego Lewandowskiego, naczelnika cywilnego i wojennego na województwa podlaskie i lubelskie". Pamiętnik obejmuje rok 1863, tudzież rewolucyę na Węgrzech w r. 1848. Lewandowski umarł w Warszawie w r. 1907, jako starzec 85 letni.

Wzrost katolicyzmu w Szkocyi: W ostatnim zeszycie londyńskiego *Catholic Herald* znajdujemy pouczające zestawienie statystyczne, dotyczące wzrostu katolicyzmu w Szkocyi, w ciągu 100 lat ostatnich. W r. 1800 w Szkocyi było 2 biskupów katolickich, 40 księży, 12 kościołów i 30,000 katolików. W roku 1829, po pamiętnej w tym roku emancypacyi religijnej w Anglii, było 4 biskupów, 50 księży 31 kościołów, 20 szkół katolickich i 70,000 wiernych. W roku 1879 Szkocya posiadała 1 arcybiskupa, 2 biskupów, 227 księży, 232 kościoły, 150 szkół katolickich i 70,000 wiernych. Dziesięć lat temu, w roku 1899 miała 2 arcy-

biskupów, 4 biskupów, 452 księży, 358 kościołów, 247 szkół katolickich i 413,000 wiernych. Obecnie liczy Szkocya 2 arcybiskupów, 4 biskupów, 555 księży, 394 kościoły, 262 szkoły katolickie i 518,629 wiernych. W Glasgowie był w roku 1800 jeden kościół katolicki, obecnie jest ich 25; w roku 1819 liczono tam 8,245 katolików, dziś mieszka ich w Glasgowie 380,000. W Edynburgu, w stolicy Szkocyi, w r. 1800 były 2 kościoły, dziś jest 9. W Dundee w r. 1800 nie było żadnej świątyni katolickiej, dziś jest 5.

Zakon Franciszkanów wedle ogłoszonych niedawno „Acta ordinis Minorum" liczy 1413 klasztorów i 16,894 członków. Działalność zakonu ogniskuje się obecnie w Austryi i Niemczech. Zakon liczy 40 biskupów i 2 kardynałów. W państwie Austryackiem i na Węgrzech znajduje się 14 prowincyi, 263 parafie z liczbą 727,000 wiernych. Około 1500 zakonników jest misyonarzami w krajach pogańskich. Od 600 lat mają Franciszkanie kustodyę nad Ziemią Świętą, gdzie założyli szpitale, szkoły i domy dla sierot.

Przemysł żelazny w Królestwie Polskiem. W 1908 r. istniało 18 wielkich pieców, z których czynnych 7, kopulaków 23 — czynnych 12, pieców martinowskich 34—czynnych 2, pieców żarowych 53 — czynnych 47, tyglowych 3—czynny 1, pudłowych 41—czynnych 28. Siła robocza zmniejszyła i z 16,885 robotników spadła do 15,225. Wytwórczość wynosiła: surowca gorszego gatunku 13,832,578 pudów, t. j. o 26% mniej niż w r. 1907, bloków różnego gatunku 23,369,803 pud. — mniej o 20%, odlewów, rur i t. p. 1,532,267 pudów, czyli o 18% więcej, drutu, szyn, stali, belek, blachy i t. p. 18,167,225 pud. — mniej o 1%, wreszcie wyrobów 2,844,213, t. j. o 9% mniej niż w r. 1907. Zapasy we wszystkich działach znacznie większe niż roku poprzedniego.

Syfilis w Rosyi. Centralne biuro statystyczne ogłosiło dane o rozwoju syfilisu w r. 1906. Z ogólnej ilości z a r e j e s t r o w a n y c h zasłabnięć zakaźnych w r. 1906 (15,718,546) na syfilis i choroby weneryczne przypada 1,597,366 wypadków t. j. 10,2 proc., a więc o 0,17 proc. więcej niż w r. 1905. Z 10,2 proc. zasłabnięć na choroby weneryczne przypada na syfilis 7 proc. Najwięcej zasłabnięć dają gubernie nadwołżańskie i Rosya Centralna (34 wypadki na 1,000 mieszkańców). Najmniej zasłabnięć daje Królestwo Polskie, Litwa, Inflanty; minimum przypada na gubernię wileńską, zaledwie 2 zasłabnięcia na 1,000 mieszkańców.

Dochody skarbowe z handlu i przemysłu w Królestwie Polskiem. Na rok 1909 sprzedano 25,501 przemysłowych świadectw, co przyniosło skarbowi 897,200 rubli, w porównaniu z rokiem ubiegłym o 68,852 rubli więcej. Jestto dowód, że kryzys, wywołany zawieruchą minionych lat kilku, przemija i życie handlowo-przemysłowe powoli wkracza na tory normalne.

Stan Towarzystw Rolniczych w Królestwie Polskiem. Według sprawozdania głównego zarządu rolnictwa, ogólna liczba członków istniejących w Królestwie Polskiem 10 oddziałów handlowych towarzystw rolniczych, w r. 1907 wynosiła 1,624 z kapitałem udziałowym rb. 266,190; kapitał zapasowy towarzystw wynosił rb. 45,141; specyalny rb. 62,744. Narzędzi rolniczych towarzystwa sprzedały za rb. 678,374, nawozów za rb. 995,416 i nasion za rb. 340,545; ogólny obrót zaś wynosił rb. 2,941,985, czysty zysk rb. 92,369.

Cena ogłoszeń na okładce: cała strona 32 ruble, pół strony 16 rb., ćwierć strony 8 rb., ósma część strony 4 ruble. Za ogłoszenia w numerze o 50 proc. więcej. **Przedpłata w Warszawie:** rocznie rb. 3; półrocznie rb. 1 k. 50; kwartalnie k. 75. **Z przesyłką pocztową:** rocznie rb. 4; półrocznie rb. 2; kwartalnie rb. 1; w Austryi rocznie koron 10; we Francyi frank. 11; w Niem. mk. 9.

Cena numeru pojedyńczego 30 kop., — 45 centów, — 1 franka, — 80 fenigów.

Cena numeru podwójnego 50 kop., — 65 centów, — 1 frank 35 cent., — 1 marka 25 fen.

Adres Redakcyi i Administracyi: Warszawa, ul. Warecka 10 m. 11. Administracya otwarta codziennie prócz dni świątecznych od 10 rano do 5 po południu. Redaktor w sprawach redakcyjnych przyjmuje w dni powszednie od 11—12 przed południem.

Redaktor i Wydawca Adam Szymański. Druk. E. Nicz i S-ka, Nowy-Świat 70.